



BIUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20; z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 60.

Pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.

Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Biuszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Bezpartyjność, jako hasło równouprawnienia.



W życiu naszym społecznym ostatnich czasów, dały się zauważyć dwa ciekawe i napozór zupełnie sobie przeciwne zjawiska.

Z jednej strony, z chwilą rozpoczęcia politycznego życia, potworzyły się i różniczkowały w sposób niezwykle silny, a czasem dość smutny, polityczne partje i przekonania, z drugiej powstała w bardzo krótkim czasie ogromna stosunkowo ilość organizacji bezpartyjnych, jak: pisma i związki, zaczęto nawet agitować za bezpartyjnością... wyborów.

A dzieje się to pomimo licznych protestów ludzi silnie zaakcentowanych przekonani partyjnych, którzy na bezpartyjność rzucają gromy oburzenia, utożsamiając ją z egoizmem, niedołęstwem, tchórzostwem i tym podobnymi przysiołkami ludzkości.

Jak wytłómaczyć tę zagadkę?

Z pozoru jest to dość trudno, a nawet samo słowo: bezpartyjność nie należy do zbyt łatwych i ściśle określonych orzeczeń.

Partja, czyli stronnictwo, przedstawia zawsze pewien program, dąży do urzeczywistnienia jakichś zmian i osiągnięć danych celów; zdawałoby się na razie, że tak na same owe zmiany i cele, jak na sposób przeprowadzenia, trzeba się zapatrywać z jakiegoś ściśle logicznego stanowiska, godzić się na nie i tem samem należeć do partji lub protestować i nie należeć, ale w takim razie należeć trzeba do jakiejś innej, boć każdy człowiek musi mieć swoje przekonania, i wobec tego bezpartyjność, wydać się może albo naiwną nieświadomością, albo niewłaściwą w tym względzie obojętnością.

A jednak tak nie jest.

Zapewne, że obojętność i niezajmowanie się sprawami społecznymi i objawami publicznego życia, określają pewien odłam bezpartyjnych, ale nie o tych ludzi chodzi nam chwilowo i nie na nich zwrócić chcemy specjalną uwagę, lecz właśnie na tych, którzy, pracu-

jąc dla społeczeństwa, czując jego duszę i oddając część swego życia dla ogólnych korzyści, nie należą do żadnej jednak partji.

Już Słowacki przewidział w „Kordyanie“, że: „Świat się nie rozszerzył, ale zyskał na głębi.“

Od tego czasu pogłębiały się coraz bardziej, stajemy się coraz subtelniejsi i coraz więcej się różniczkujemy.

Dawniej były wielkie hasła ogólne: Bóg i ojczyzna, Za wiarę, króla i prawo, etc., za temi szli wszyscy, bo i działalność polityczna niezbyt była skomplikowana, kończyła się przeważnie na wojnie, a że ją tam czasem niesłusznie prowadzono, to nikt w to wiele nie wglądał, Turczyn, Szwed, czy Tatar był jednak groźnym i walczyć z nim było trzeba.

Dziś za to, wobec pokojowego przeprowadzania spraw, a jednocześnie wielkiej spraw tych ilości i różnorodności, muszą zachodzić też wielkie różnice w sposobach patrzenia na nie. Różnic jest takie mnóstwo, że z nich to właśnie wypływa nazwa—bezpartyjny. Bezpartyjność w tem znaczeniu nie jest brakiem przekonani; jest tylko niegodzeniem się na wszystkie przekonania jakiegoś stronnictwa, jest niepoddawaniem się pod komendę dziś istniejących stronnictw, bezpartyjność jest czasem przedwstępny stan formacji partji nowych, o szerszej zakrojonym programie i mniej zacieśnionych punktach widzenia.

To jest sama zasada i określenie bezpartyjności, jest jednak drugą rzeczą zastosowanie tej zasady w praktyce, czyli działalność bezpartyjna i nasuwa się pytanie, dlaczego ta ostatnia znalazła tak szerokie pole w ostatnich czasach.

Otóż stało się to przede wszystkim dlatego, że dziś wyłoniło się z wielką siłą kilka postulatów, także bezpartyjnych, to jest z programami politycznymi niewiele mających wspólnego, a do ich osiągnięcia bezpartyjny sposób przeprowadzania kwestji okazał się prosto najpraktyczniejszy. Takiej rzeczy jak rozszerzenia oświaty, zdobycia praw samodzielnosci autonomicznej, pragną wszyscy bez różnicy przekonani, wszyscy więc mogą należeć do związków, zakładanych w tym celu i wtedy dopiero wszyscy zaufać mogą racjonalnemu rezultatowi działania; w związku bezpartyjnym znajdują się nietylko bezpartyjni,

właściwi, ale i członkowie różnych stronnictw kontrolując wzajemnie swą działalność; w piśmie bezpartyjnym pisać będą dobre siły z różnych obozów i nieść pomiędzy szerokie warstwy objaśnianie objawów społecznego życia, a sama możność ich poglądów rzuci szerokie światło na ich objawy.

To jest właściwy ideał bezpartyjnych organizacji; naturalnie, że w życiu nie będzie on tak idealnie stosowany, jak w zasadzie i zawsze pewna doza stronnictwości grasować będzie nawet w bezpartyjnych instytucjach, ale to już jest objaw nieunikniony, tłómaczy go ludzka ułomność. Sam fakt jednak nadawania nazwy bezstronnych pewnym rodzajom działalności, świadczy o chęci zbliżenia się do tego ideału.

Ze wszystkich zaś spraw, najwięcej wymagającą bezstronnej, czyli bezpartyjnej działalności, jest sprawa równouprawnienia kobiet.

Jeśli oświatę podawać można zabarwioną politycznym przekonaniem jakiegoś stronnictwa, jeśli w sprawie autonomii ta lub owa partja lęka się hegemonii przeciwników, to wyraz „równouprawnienie“ trudno jest przekreślić, lub pomalować jakimś określonym kolorem!... I tu już są istotnie tylko dwie alternatywy: przyjąć, lub nie przyjąć.

Można np. odrzucać równouprawnienie na zasadzie konserwatywnych zasad, ale nie można twierdzić, że pragniemy „konserwatywnego równouprawnienia.“

Osobników jednak zasadniczo odrzucających równouprawnienie, mamy dziś mało. Są za to tu, jak i wszędzie, ludzie różnych obozów, a także i tak zwani bezpartyjni.

Ani jednak żadna z tych partji, ani odłam bezstronnych nie zdobędzie w społeczeństwie większości, potrzebnej do załatwienia kwestji kobiecej. Zrobić to mogą wszystkie partje razem, czyli bezpartyjny związek równouprawnienia kobiet. A stosuje się to tak do przyszłej działalności głównej, w parlamencie czy sejmie, tyższej się ustaw zasadniczych, jak i obecnego działania przedwstępnego i agitacji, uświadamiania i jednania stronnictw, coraz liczniejszych. Tam, gdzie członek stronnictwa widzianym byłby niechętnie, bezpartyjnego działacza sprawy kobiecej wysłuchają i oceniają w nim przedstawi-

cieli sprawy ogólnej, wszystkich zarówno obchodzącej.

To jest взгляд zupełnie praktyczny: szybszego dojścia do celu, взгляд, który w Niemczech np. łączy w sprawie równouprawnienia związki zawodowe kobiet socjalistyczne z ewangelickimi i katolickimi, ale jest i взгляд inny: niezakłócania zasady jedności w społeczeństwie, niewzniesienia z powodu równouprawnienia, partyjnych swarów i tak już dość chyba u nas rozognionych.

Ktoś np. napisał, zdaje mi się, kiedyś, w „Nowej Reformie,” że kobiety powinnyby właściwie wszystkie zostać socjalistkami, gdyż socjaliści tylko uznają głosowanie bez różnicy płci, a ono prowadzi do równouprawnienia! I tu jest ten błąd w rozumowaniu, który u nas wielokrotnie można zauważyć; kobietom zdaje się, że powinny pójść pod opiekę jakiejś partji, jedne twierdzą najsilniejszej, inne — najbardziej postępowej, i ta partja wywalczy im ma swobody.

Otóż przedewszystkiem równouprawnienia nie wytworzyła żadna partja ani nawet idea, lecz tylko życiowa konieczność, a walczyć o równouprawnienie powinny wszystkie kobiety z pomocą mężczyzn naturalnie, ale nie przez mężczyzn wyłącznie, i dlatego oddawanie tej sprawy w ręce jakiegoś stronnictwa, jest, oprócz niepraktyczności, jeszcze i nielogicznym. Kobiety wszystkich przekonań politycznych i społecznych jednoczyć się powinny dla należytego badania, ugruntowania i prowadzenia sprawy, bezpośrednio je obchodzącej i dotyczącej, jeśli zaś w przyszłości zwrócić się im wypadnie do parlamentu, to zwracać się będą do Koła posłów, w którym może być wprawdzie jakaś większość, ale dziś niema już chyba takiej większości, która odrzucała prawa człowieka.

Ze wszystkich więc względów, tak ściśle rozumowo logicznych, jak ideowych, lub z praktyką życiową powiązanych, związek równouprawnienia kobiet powinien być bezpartyjnym. Należałoby tylko pomyśleć o utwo-

rzeniu takiego związku. Mamy już bowiem dużo organizacyi drobnych, zawodowych stowarzyszeń, umysłowych zrzeszeń i t. p. uznających równouprawnienie i pracujących dlań, ale nie posiadamy centralnego jakiegoś organu, który zjednoczyć mógłby te pomniejsze instytucje, przyjąwszy równouprawnienie jako hasło i główny cel działania, w dotychczasowych bowiem organizacyach było ono tylko jednym z punktów programu. Naturalnie, że do związku takiego, jeśli od razu byłby na ogpowiednią skalę postawiony, należećby mogły, oprócz kobiecych, także różne, mieszane związki, byle tylko zasadą podstawową stowarzyszenia była bezpartyjność.

W ten tylko sposób pozyskać można ogół dla tej sprawy, w ten sposób, gdyby nawet powstała u nas hegemonia jakiejś partji, zdobyć sobie można jej głosy, tylko, że nie będą to głosy *stronników*, lecz ludzi.

N. J.



MARYAN GAWALEWICZ.

BEZ CELU.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Czuł, że będzie zgubionym, jeżeli rzeczywistość znajdą ukrywaną broń, której pochodzenia nawet sam nie potrafiłby wytłumaczyć bez narażenia żony; przypadek stawił go w fatalnej kolizji i kazał mu bez wszelkiej winy przyjmować na siebie całą odpowiedzialność.

Nie mógł przecież udawać naiwnego i utrzymywać, że nie ma nawet pojęcia, z kądem się w jego fotelach wzięły pochowane browningi.

Z konieczności musiał odmawiać wyjaśnień i być przygotowanym na najgorsze następstwa przy śledztwie.

Na razie jedna myśl tylko najbardziej go dręczyła:

— Żeby teraz Cesia nie nadeszła!... żeby ją można było jakim sposobem ostrzedz i powstrzymać!... inaczej, wpadnie w pułapkę i pochwyca ją niezawodnie.

Co do siebie był zupełnie zrezygnowany; przez chwilę błysnęła mu jeszcze nadzieja, że może jednak rewolwerów nie znajdują, że może je żona usunęła w ostatnich dniach, że może je właśnie nad wieczorem odniosła do Romeckich lub gdziekolwiek.

Nie śmiał wybadywać Jerzyka przy tak niebezpiecznym świadku, więc go tylko mocniej przyciskał do siebie i spoglądał mu w oczy, jakby z wyrazem bolesnego wyrzutu, który zdawał się mówić:

— Dziecko, dziecko, coś ty uczyniło!... zgubiłeś ojca swego i matkę, wydając ich na pastwę okrutną. Jerzyku, ty nawet zrozumieć nie możesz, jaką straszną ironią losu było twoje odezwanie się!

A Jerzyk jakby instynktownie odczuł grozę położenia, poczerwieniał, zawstydził się, twarzyczkę ukrył na kolanach ojca i blizki płaczu mrucał nerwowo:

— Puńciu, powiedz temu człowiekowi, żeby sobie poszedł, żeby się do mnie nie odzywał!... ja nie chcę, ja nie potrzebuję, ja się go boję!...

Agent uśmiechnięty jowialnie na pozór, uspakajał malca:

— Nu, niczewo, niczewo!... nie trzeba być niegrzecznym; ja już sam idę, ja już poszedłem, mnie już niema, o!...

I rzeczywistość wyszedł do drugiego pokoju z taką miną, jak gdyby miał w niepamięć puścić wszystko i żadnej wagi nie przywiązywał do podsłuchanych słów Jerzyka.

Chroniecki z bijącym sercem pozostał w miejscu nieporuszony; czekał tego gromu

Z doby obecnej.



Zastój społeczny. — Posucha sensacji. — Żądza nowości. — Upadek kultury w Warszawie. — Głos aktora, recenzenta i muzyka. — Smutne refleksje. — Towarzystwo poskramiiania publiczności. — Mania naśladowcza. — Rewizje higieniczne uczennic. — Oryginalna sprawa. — Potępienie niewłaściwego rewidowania.

W życiu naszym społecznym cisza, w prasie — tradycyjnie, letnie ogórki. Nudno. Czytelnicy, jak kanie dżdzu, wyczekują jakiejś świeżej nowiny, dziennikarze suszą sobie głowy, aby ją wynaleźć, ale — niestety, czy na szezęście — bez skutku.

Zabójstwa stały się monotonnymi, napadami bandytów przestano się interesować, aresztowanie i wysyłanie ludzi po za granice Królestwa rzecz nie nowa, represje prasowe cóż o nich mówić nawet, mamy je od lat stu bez mała...

Żeby się też coś stało nowego, niebywałego jeszcze!

Żeby chociaż zabito kogoś w sposób niepraktykowany dotąd!

Żeby chociaż cień nowiny sensacyjnej! — wołają spragnieni wrażeń czytelnicy, a my ich sami dać nie możemy, bo kolej wypadków nie od nas zależy. My tylko dajemy syntezę życia, wy czytelnicy, wy społeczeństwo, to życie tworzycie. Jeżeli zaś mamy choć krótki czas bez nowin nadzwyczajnych, bez wrażeń nadzwyczajnych, toć zasłużyliśmy chyba na krótki jakiś wypoczynek, na danie wytchnienia nerwom, tak bardzo starganym w ciągu ostatnich lat paru...

Ale u nas trudno, niestety, o zadowolenie pragnień wszystkich. Jesteśmy świadkami strasznej zawieruchy, strzelają, rabują, mordują — wołamy, kiedyż tego kres będzie. Stosunkowo mniej strzelają, mniej rabują, mordują — narzekamy na brak sensacji!... Czy wy czytelnicy nie zdemoralizowaliście się sami, czy żądza sensacji nie weszła wam w manię prześladowczą? Uderzcie się w piersi i wołajcie *mea culpa!*

Sami siebie wyprowadziliście z równowa-

gi, zdemaskowaliście się. Świstek ilustrowany z fantastycznymi rysunkami „strasznych mordów,” często nawet niebywałych, znajduje dziś pokup wpośród sfer inteligentnych nawet; poważną gazetę omijacie natomiast skrzętnie. Najwstrętniejsze, najbardziej gadzinowe świstki znajdują dziś pokup największy, wielkie wydawnictwa poważne i zasłużone przeżywają natomiast okres przesilenia...

Poziom nasz umysłowy obniżył się stanowczo w ciągu ostatnich lat paru.

W kołach artystów i literatów ubolewamy wspólnie nad tem niesmiało.

— Publiczność warszawska — mówi mi pewien głośny artysta dramatyczny — w oczach upada kulturalnie. Sensacja, zły, niesmaczny *witz* zabija wszystko. Publiczność warszawska chce, żąda, uczeszcza jedynie na sztuki niesmacznie sensacyjne. Przed trzema laty wygwizdanoby takie wierszydła... U nas tymczasem dziś wszelka sztuka poważna schodzi z repertuaru. Na domiar złego taż sama publiczność każe udawać nam kłownów. Im więcej szarzy i pieprzu, fem więcej brawa.

który miał uderzyć z jasnego nieba na jego głowę, a każda sekunda wydawała mu się bezlitośnie długą.

Korzystając z chwili, nachylił się do uszka chłopca i pytał cichutko, szybko, nerwowym głosem:

— Ty widziałeś naprawdę, jak mama chowała rewolwery w fotelach?...

Malec potwierdzał ruchem głowy, nie odrywając twarzą od kolan ojcowskich.

— Dawno widziałeś?... gdzie?... w saloniku czy tutaj?... przypomnij sobie!... No, mówże!... czemu teraz milczysz?...

Ale dzieciak zaciął się i nie dawał odpowiedzi, jakby się obawiał własnego głosu i nowej niedyskrecyi.

Nie można było z niego ani słówka wydobyć.

W przybocznym saloniku zrobiła się nagle wielka cisza, która zastanowiła Chronieckiego; musiało się tam wydarzyć coś szczególnego, co na chwilę oniemiało wszystkich i naprężyło sytuację.

— Co się tam stało?—pomyślał Chroniecki, ale nie śmiał się poruszyć, tem bardziej, że mu Jerzyk obejmował kolana i ścisnął je wystraszone.

Wtem ostry, krótki, stanowczy jak wojskowa komenda, zabrzmiał głos żandarmskiego oficera:

— Dawać go tu, natychmiast!...

We drzwiach stanął ten sam agent policyjny, ale już z miną pochmurną, surową tajemniczą i niby grzecznie, lecz rozkazująco rzekł:

— Pan pozwoli potrudzić się do drugiego pokoju!...

Chroniecki podniósł się, ale Jerzyk opętał mu nogi swojemi rączkami i uczepony u jego kolan, wybuchnął jakimś rozpaczliwym, przerażającym krzykiem:

— Nie idź!... Puńciu, ja cię błagam, nie idź do nich... słyszysz?... ja cię nie puszcę i nie, nie, nie dam, i już!...

Ojciec musiał mu łagodnie odrywać kur-

czowo zaciskające się rączka i udając spokój, przekładać dziecku, szarpanemu najgorszym przeczuciem:

— Jerzyku, bądź-że rozsądny!... co sobie pomyślał tamci panowie o nas obu?... pomyślał napewno, że się boimy, a przecież wiesz, że boją się tylko tchórze, prawda?...

Dzieciak drgnął, usłyszawszy wyraz „tchórze“; zawahał się chwilę, główkę podniósł i oczyma pełnemi łez spojrzął na ojca.

W jednej chwili odpadły mu rączki od ojcowskich kolan, osunął się na dywan i zamilkł, zatykając sobie piąstkami usta; grube łzy spływały mu po twarzy.

Chroniecki wszedł do drugiego pokoju, było w nim jaśniej, bo paliły się dwie lampy i parę świec w lichtarzach.

Panował tam ogromny nieład, meble poduswane od ścian, stały pośrodku, szafy potwierane, szuflady ze stołów i biurka leżały na podłodze, mnóstwo rzeczy niedbale porzucanych zalegało kanapy i stołki,—nie porządek raził oczy, jak w czasie przeprowadzki.

Wszędzie widniały ślady bardzo ścisłej i drobiazgowej rewizyi.

Dwóch żołnierzy kłęczało na posadzce i rozpruwało właśnie przewróconą kanapę, wydobywając z niej pełnemi garściami włosie i sprężyny.

W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach juchtu i dymu z papierosów.

Chroniecki rzucił okiem na stół, przy którym stało dwóch oficerów w rozpiętych szynelach i rewirów z teką pod pachą; spojrzeli i pobladli.

Na stole bowiem ujrzał ułożone w jednej linii nowe browningi i paczki z nabojami; było ich siedm, osobno zaś błyszczało metalowe podłużne pudełko z wystającym lontem.

Starszy oficer, niski, krępy, o twarzy okrągłej, zarumienionej, z miną spokojną na pozór i bardzo uroczystą, obrzucił wzrokiem całą postać Chronieckiego i spytał:

— Pan widzi, jakie my tu piękne rzeczy znaleźli?... ha?...

Wskazał palcem, na którym pobłyskiwał sygnet z krwawnikiem, na pudełko blaszane, mówiąc:

— A to co?... pan może powie, że to puszcza sardynek?... a to bomba!... ha?...

Chroniecki chciał się zbliżyć do stołu z ciekawości, bo sam był zdziwiony odkryciem takiego arsenału u siebie, ale mu rewirów zagroził drogę i powstrzymał słowami:

— Niech pan tylko tam zostanie, zdaleka!

— Mebelki my panu zepsuli—mówił w dalszym ciągu oficer z odcieniem lekkiej ironii,—nu, cóż zrobisz?... tak trzeba było po służbie, ale za to naszli precjozy!..! Pan się może wytłomaczyć z posiadania tego, co?...

Spuścił głowę, ręce włożył do kieszeni i z jakimś bolesnym uśmiechem rezygnacyi rzekł:

— Mógłbym może, ale nie chcę.

— Pan nie chce?... uhm!... nu, to się pokaże, to jeszcze zobaczymy.

Odwrócił się do niego plecami i zaczął rozmawiać zniżonym głosem ze swym towarzyszem.

Żołnierze skończyli patroszyć kanapę, narobiwszy sporo kurzu i zaśmieciwszy posadzke, ale niczego więcej nie znaleźli; z kolei zabrali się do wypruwania wnętrzości z innych wyścielanych mebli, niszcząc je niemilosiernie.

Chroniecki oparł się plecami o ścianę i apatycznym wzrokiem patrzył przed siebie, na stół, pykając papierosa.

Nie myślał nawet o obronie, ani o środkach ratunku, po co?... wiedział teraz dobrze, że toby się na nic nie przydało wobec takiego *corpus delicti*.

Przestępstwo jego było dowiedzionem; bez względu na to, coby śledztwo dalej wykryć i ujawnić mogło, dźwigał już i tak dosyć odpowiedzialności.

Zdecydowany był teraz wobec zaszłych

Byłem dawniej dumny ze swego zawodu, dziś zaczynam się go wstydić naprawdę. Tfu, sztuka i teatr warszawski!...

Artysta wpadał w uniesienie, wzrok zdawał rzucać wejrzenie gniewne targanego za duszę człowieka, co kochał, co czuł, dla czego kult żywił, czemu życie poświęcił...

Wtem podsuwa się pan nad panami w teatrze, krytyk oryginał, recenzent teatralny i wnosi do rozmowy naszej myśl genialną...

— Panowie! — woła, — rzucam myśl... Zalóżmy w Warszawie Towarzystwo poskramiają publiczności teatralnej!

?! — robimy wielkie oczy.

— Tak, panowie! Zaczynać musimy szerzenie kultury na nowo. Musimy nadewszystko urobić publiczność, później dopiero zreformujemy sam teatr. Nasze towarzystwo będzie *in corpore* bywać na każdym przedstawieniu, członkowie, wartownicy, rozrzucony będą po całej widowni i strzedz będą, aby publiczność nie biła brawa, kiedy artystę za efekty kłowna raczej wygwizdaćby należało, aby publiczność warszawska nie śmiała się,

kiedy dana scena daje powód do najgłębszych wrzuseń, aby ta publiczność nauczyła się teatr uważać za przybytek sztuki, nie zaś stajnię Augiasza...

Zapalczywym słowem recenzenta żywo przyklaskiwał kompozytor-muzyk, jeden ze znanych i wytwornych działaczy na polu szerzenia umiłowania do sztuki czystej, sztuki prawdziwej.

— Kraków, Lwów — mówił muzyk — mają swoją kulturę. Teatr i sala koncertowa mają swoją wyborową publiczność. Dla tej publiczności warto grać, i ma się scenę, i nie zrozumienia nawiązuje się między estradą i audytorium... W Warszawie? Ha, ha, ha w Warszawie! Płakać, gorzkimi płakać łzami...

Trzy głosy, trzech ludzi, a jakaż dziwna, jaka smutna jednomyślność! A jeśli, czytelniku, wydaje ci się ona przesadną, idź i obserwuj, a obserwując, staraj się reformować choćby najbliższe swoje otoczenie. Niema dla nas nic niebezpieczniejszego nad upadek kultury, ona jedna stanowiła dla nas siłę, ostoję i obronę przed wpływami zewnętrznymi.

Ostatnie lata wiele wyrządziły nam krzywdy, wiele zaszczyliły manier dziwacznych, wiele wprowadziły nowości nie zawsze dobrze przetrwanych, nie zawsze zastosowanych do warunków, potrzeb i korzyści istotnych.

Wieleż opacznych inowacyi wprowadzono u nas i do szkolnictwa polskiego, tej ostoi bytu narodowego, tego szkolnictwa, które stanowić miało o przyszłej szczęśliwości naszej!

Rozwagi, rozumu i jeszcze raz rozwagi potrzeba nam przy naśladowaniu Zachodu, a zwłaszcza jeśli ten Zachód źle naśladowujemy...

Jestem z natury najszczerzym przyjacielem postępu. Tem więcej boli więc mię, jeśli zamiast postępu, pod jego pretekstem, wprowadza się u nas najszkodliwsze *imitacje* postępu zachodniego.

A mówiąc o wprowadzaniu „postępu“ do szkół, mam na myśli niedawno zdemaskowane szkolnictwo pseudo - postępowe, jakie właśnie pod pretekstem inowacyi higienicznych poczęto stosować na pewnej pensyi, w pewnym mieście gubernialnem w kraju naszym.

faktów i powracał do swojej zwykłej równowagi.

-- Ale mnie zasypała! — myślał o żonie bez żalu i urazy; — nie wykreję się tym razem, to pewna!

Przypomniał sobie biednego Jerzyka, który siedział na ziemi w drugim pokoju i jak ogłuszony, osłupiały, z szeroko otwartymi oczyma patrzył we drzwi, po za którymi stał jego Puńcio w otoczeniu wojskowych.

Chciał pójść do malca, aby przynajmniej te ostatnie chwile z nim spędzić przed spodziewaną rozłąką na długo... może na zawsze, ale rewirowy zastąpił mu znowu drogę i zatrzymał na miejscu.

— A pan gdzie?

— Do drugiego pokoju; — odparł spokojnie, — cóż to?... nie wolno mi już chodzić po swoim własnym domu?

Rewirowy spojrzawszy pytająco na obu oficerów.

— Tak pan się może uważać już za aresztowanego, — odezwał się drugi oficer i dał znak rewirowemu, aby mu towarzyszył i pilnował go od tej chwili, jako więźnia, i to niebezpiecznego.

Jerzyk nie wstając z podłogi, wyciągnął do ojca rączkę i nerwowo szeptał z gorączkowym wyrazem w oczach i głosie:

— No i co, Puńciu?... i co?... i co?...

— I nie—uspakajał go Chroniecki, — i pójdziesz grzecznie spać, a ja wyjadę na miasto, a za kilka godzin powrócę.

— Ty wyjedziesz?... — pytał chłopak niedowierzająco, — ty wyjedziesz i znowu mnie samego zostawisz, a jej jak niema, tak niema!... Jej zawsze niema, kiedy jej potrzeba, — dodał z akcentem dojrzałego człowieka, który się dziwi i oburza. — Powiedz mi, gdzie ona teraz właśnie siedzi?...

Założył rączki na piersiach i kiwał główką do ojca, jakby się gorszył nieobecnością matki.

A Chroniecki podniósł go z ziemi, usiadł z nim na krześle i posadziwszy go sobie na

kolanach, przytulił do piersi i siląc się na spokój i obojętność, szeptał mu nad uchem:

— Puńcio teraz wyjedzie, a ty tu zostaniesz w domu i będziesz grzeczny, i posłuszny, i będziesz zuch chłopak, nie będziesz się bał nikogo i niczego, dobrze?... A potem przyjdzie ciocia Sewerka i ciocia Broncia i zabiorą cię do siebie.

— Dlaczego?... dlaczego mnie mają ztąd zabrać?... — pytał chłopak zaciekawiony.

— Dlatego, że my się ztąd wyprowadzić musimy, bo tu taki nieporządek i tyle kurzu.

— A to oni narobili!... to niech się oni wyniosą!... Ty im nie za to nie zrobisz, że nam takie śliczne meble pokrajali nożyczkami?

Rozmawiali ze sobą tak po cichu jeszcze długą chwilę, aż chłopak uspokojony zupełnie zapewnieniami ojca, że jutro rano pojedą w Aleje na spacer, dał się okłamać i przyrzekł grzecznie zaraz zasnąć, gdy go ułożą w łóżeczku.

Pod ścianą stał rewirowy i dziwnie jakos spoglądał na tę wzruszającą scenę pożegnania ojca z dzieckiem, które może nigdy więcej nie miało go zobaczyć i okrutną pieczęcią dało się ludzi, że się z nim żegna tylko na kilka godzin.

A Chroniecka nie przyzbodziła; nadeszła dopiero w ostatniej chwili, gdy męża pod strażą wyprowadzano z domu i wsadzano do dorożki.

I wtedy właśnie zaaresztowano ją w bramie.

Kilka minut później byłaby może uniknęła fatalnego spotkania z policją.

(Ciąg dalszy nastąpi).



W pięćdziesiątą rocznicę zgonu poety.

J. P. Béranger.

Czternasty Lipiec.

Na melody: „A soixante ans il ne faut pas remettre.“



Wspomnienie pełne czaru więźnia goni:
...Młodość... „Za naszą krew!“ — brzmi na ulicy... [cy...

„Hej na Bastylię! Do broni! Do broni!“
Biegną mieszczanie, kupcy, robotnicy.
Widzę jak matka, żona, córka zbladła;
Na odgłos bębna grzmią armatnie strzały.
Zwycięstwo ludu! Już Bastylia padła!
Pogodne słońce dzień święciło chwały,
Dzień święciło chwały.

Bogacze k' biednym lgną, a k' dzieciom starce;
Niewiasty głoszą tysiączne przygody.
Cześć niebieskiemu *), co szedł dzielnie w harce...
Okłaski i okrzyki grzmią w zawody!
Imię królewskie szepeją pośród ludzi —
A Lafayette'a tłum wysławia cały.
Francya jest wolna! Moja myśl się budzi.
Pogodne słońce dzień święciło chwały,
Dzień święciło chwały.

Mądry, poważny, starzec moje kroki
Nazajutrz powiodł ku ruinie wielkiej.
„Mój synu! — rzecze — despoty wyroki
„Tu niewolnika krzyk tłumiły wszelki.

*) Gwardyc francuzkie nosiły mundur niebieski. Większa część owej milicji wydarła się z koszar, w których była skonsygnowana i pośpieszyła Paryżanom z owocną pomocą, przy wzięciu starej twierdzy feudalnej.

(Przypisek autora).

Oto gorliwy lekarz, rzekomy wyznawca reformy higienicznej, począł wśród uczennic stosować „rewizye zdrowotne,“ zagłębiając się aż do organów, które bywają dostępne dla lekarza-mężczyzny tylko w wypadkach specjalnych chorób...

W pewnych gronach rodziców system „rewizyi“ począł budzić odruch protestu, ale przełożona straszyla wydalaniem uczennic w razie uchylenia córek z pod ustanowionej karności higienicznej.

Sprawa nabierała rozgłosu, aż znalazła wreszcie wyraz w specjalnie wydanej książce, której autorem był jeden z głośniejszych u nas księży-literatów. W odpowiedzi lekarz pozwał autora przed sąd konsystorza. Zwolano świadków z pośród rodziców, sprawie nadano charakter jak najbardziej publiczny.

Jeden z ostatnich numerów „Przeglądu katolickiego“ zdaje obecnie relację z tej nadzwyczaj ciekawej sprawy.

„Żeby nie zarzucono orzeczeniu sądu — pisze sprawozdawca — wyłączności wyznaniowej, sędzia-referent zasięgnął opinii trzech leka-

rzy, jako ekspertów. Ci oświadczyli, że rewizye higieniczne, tak jak były i są praktykowane (na pensjach), nie mają wartości naukowej lekarskiej i mogą uchodzić jedynie chyba jako środek reklamy dla szkoły, tak rzekomo postępowej i tak rzekomo o zdrowie uczennic troskliwej.“

Ale nie dość na tem. Powód (lekarz) w swej skardze przed sądem powołał się na dzieło O. Jankego, spolszczone i uzupełnione przez d-rów Konopczyńskiego i Handelsmana, p. t. „Zasady higieny szkolnej.“

Posłuchajmy co z tego powodu mówi sprawozdawca sądowy:

„Referat bije powoda bronią jego własną, bije go Jankem. Jeśli rewizye higieniczne dziewcząt mają być dokonywane gruntownie, więc i z poważnym rezultatem, według wymagań szematu, pomieszczonego w dziele Jankego (stan narządów wewnętrznych, stan skóry etc.), to, owszem, dyskrecya względem tychże dziewcząt była w danym wypadku posunięta za daleko, tak, że cel badań w znacznej mierze udaremniła. Niemniej, jak stwier-

dziły zeznania świadków, dyskrecyi tej było za mało, a to ze względu na zbyt wczesny w takim razie wiek, na nieodpowiedni wiek i powagę lekarza (powoda), oraz — niewłaściwości, popełnione tak przez niego, jak i przez przełożoną. Do rewizyi takich, o jakich mowa Janke wymaga lekarza-niewiasty, a w braku jej — mężczyzny, poważnego wiekiem i obdarzonego zaufaniem rodziców. Przyczem Janke kładzie silny nacisk na roztropność, takt i delikatność etyczną lekarza.“

Rzecz dziwna, że o sprawie tak wysoce charakterystycznej, aktualnej i żywotnej pisma nasze milczą, choć należałoby jej nadać rozgłos szeroki.

Wszakżeż trzeba i należy stosować wymagania higieniczne u nas w jak najszerszym zakresie, ale nie wolno narażać istot młodych na sromotne może wyzbywanie ich nieraz z przyrodzonego wstydu, który stanowi nieodzowną ochronę kobiety przed zboczeniami, pociągającymi za sobą bardzo dalekie konsekwencje...

Stefan Gorski.

„Lecz jego sługi, chcąc tu więzić chmary,
 „Tak skrzętnie każdą więzę podkopały,
 „Że z pierwszym ciosem runął zamek stary.
 „Pogodne słońce dzień święciło chwały,
 Dzień święciło chwały.

„Mój synu! Wolność — owa wiecznie żywa,
 „Najświętsza rokoszanka — wdziawszy zbroję,
 „Ku swemu oto tryumfowi wzywa
 „Równość, co niebios porzuca podwoje.
 „Grom tych dwu siostr huczy i łśni dokoła.
 „To piorunuje w dwór Mirabeau śmiały.
 — „Jeszcze Bastylli potrzeba nam! — woła...
 „Pogodne słońce dzień święciło chwały,
 „Dzień święciło chwały.

„Gdzie siejem — wszystkie ludy zbiorą plony.
 „Króle, w obrady nasze zasłuchani,
 „Podnoszą drżące ręce do korony,
 „A cicho o nas szepeją ich poddani.
 „Oto wschód ery praw człowieka błyska
 „I lot w krąg ziemi poczyna zuchwały —
 „A Bóg świat nowy tworzy z rumowiska.
 „Pogodne słońce dzień święciło chwały,
 „Dzień święciło chwały.“

Tych starca słów, tego wolności chrzestu
 Wspomnienie zda się w mojem sereu drzemie.
 I widzę znów z za krat, jak po czterdziestu
 Latach Czternasty Lipiec zszedł na ziemię.
 Wolności! Głos mój, co się groźb nie lęka,
 Głosi twą sławę w kaźni, zawsze stały.
 Do moich katów śmieje się jutrzienka;
 Pogodne słońce święci ów dzień chwały,
 Święci ów dzień chwały.

Pisane w więzieniu La Force.

Przełożył z francuzkiego

Władysław Nawrocki.



Marya Czesława Przewóska.

ELLEN KEY

W świetle postępowych dążeń ruchu kobiecego.

ORAZ

REFORMY WYCHOWAWCZEJ.

Zarys syntetyczny.



(Ciąg dalszy).

Nauka o życiu duszy! Co za wspaniały przedmiot nowej pedagogii! Metody wychowawcze mijających dni daleko były w gruncie od tych nowych postępowych stanowisk. Coś mówiło się o tem w psychologii wychowawczej, teoretycznie coś już wiedzano o tem, ale w praktyce wychowanie nowoczesne dawało w tym zakresie jedno wielkie Nic. To też *kultura człowieka* spaść musiała na te nizkie poziomy, na jakie spadła. Pierwszem zadaniem nowej pedagogii, to *dźwigać* w dziecku

istotę jego *ludzka do wyżyn przyrodzonego jej rozwoju*.

Od kierowników szkół etycznych Ameryki uczmy się wchodzić na te wspaniałe drogi *współycia z duszą dziecka*. Zapoznanie się bliższe z dorobkiem metodycznym tych szkół nowego typu może nam dziś ułatwić postęp na tej drodze. Z materiału, jakim rozporządzamy osobiście do podkreślenia stanowiska pedagogicznego etycznych szkół Ameryki w niniejszem naszym studium, mamy co do tego acz nie dostateczne jeszcze, ale już bardzo cenne wytyczne.

Piękny rys światła na te usiłowania pedagogów-etyków rzuca nam przemówienie jednego z nich, motywującego podstawy tego kierunku w słowach następujących:

„Znamy wszyscy dziesięcioro przykazań, ale do czego ta znajomość nam służy, jeżeli nie wiemy nic o jej istocie? Nie wiemy nic o duszy naszej własnej, darach jej przyrodzonych, nie znamy zgoła życia jej wewnętrznego! Znamy również z *nazwy* cnoty i występki, *ale nie posiadamy wcale umiejętności* rozpoznawania ich w duszy naszej, jako też w duszach naszych bliźnich... Wydaje mi się, zaiste, że znajomość geografii naszego Ja nie jest bynajmniej mniej pożyteczna niż np. wiadomości o Spitzbergu... a badanie duszy naszej w jej dziejach, niemniej ważne, niż studyowanie pokładów ziemi, albo obowiązkowe zapoznanie się z historią o trzech synach Noego... A przecież, uważamy sobie za „święty obowiązek“ wtłaczanie w głowę dziecka mnóstwa bezużytecznego zgoła balastu w formie „wiadomości niezbędnych“ z historii lub geografii, nie dajemy mu zaś nieodzownego klucza do duszy jego własnej. Nie mówimy mu nic o wielkiem *wiedzy* tej królestwie!“

Wspaniały, zaiste, pogląd pedagoga, stającego na wysokości zdawania sobie sprawy ze świętych zadań kultury wychowawczej.

Dla ideałów reformatorskich tak pojętej szkoły, która w całym znaczeniu tego słowa jest „szkołą przyszłości“, która nie świeci mirażami frazesu utopijnych „marzeń“, ale jest w życie wcielaniem marzeniem, my, ze stanowiska osobistego naszego poglądu na wielką sprawę reformy wychowania, *opartej na kulturze cech człowieczeństwa*, mamy ze swej strony cały, wielki entuzjazm. „*Marzeniem*“ naszym *mieć taką szkołę polską*. A będzie ona najbliższą, z ducha dążeń reformatorskich, wysokim ideałom wskazań naszych świętych tradycji wychowawczych Konarskich, Stasziców, Kollątajów, Śniadeckich.

Ten kierunek amerykańskiego szkolnictwa nowego typu jest to w naturze swoich dążeń reformatorskich jakoby przedłużeniem wątku tej złotej kanwy postępowego wychowania, jaką rozpoczęła myśl polska w epoce rozkwitu reform pedagogicznych z czasów Komisji edukacyjnej, na tej drodze przewodząc całemu owoczesnemu światu. Wyrugowana z ognisk kultury Starego Łądu, w postaci bardzo żywotnej *idei postępowej* w dziedzinie wychowania, znalazła dla siebie grunt do rozwoju na Łądzie Nowym, tej krainie mnogich niespodzianek dla kierunków ewolucyjnych europejskiej myśli *starczej*. Niby pod hasłem jednego z naszych wielkich: „Bądźcie nowi duchem, albo gińcie!“ (J. Słowacki) kładzie

ta myśl postępową istotnie podstawy życia społeczeństw *naszych* na podłożu *wskazań kulturalnych*, poczynając dzieło reformy od *rodzenia człowieka* w jego *duchowym dostojęństwie*.

Długi okres kultury *materyalistycznego* pojmowania dziejów odbił się natomiast na kierunkach europejskiej myśli tej epoki w sposób zagwałdzający na miejscu żywą myśl postępową. Spowodowało to te zastoje myśli, które bieg czasu daleko pozostawia za sobą, wchodząc na drogi *nowe*. Ta starcza myśl Starego Łądu bytuje przecież uparcie, *upiorowo*, w mózgach, postępujących głównie w pomysłowości do wciąż nowych „etykiet“ do bezskutecznych już mikstur postępowości „roztropnej.“ Ten stosunek myśli rzetelnie postępowej do jej form ewoluujących w kierunkach wstecznych, przejawia się w sferze myśli współczesnej w licznych kolizjach, jakie zachodzą na tych posterunkach życia, gdzie zasada walki człowieka z człowiekiem święci jeszcze tryumfy ideowe.

Stosunek ten zaznacza się jaskrawo i charakterystycznie, w tych dążeniach współczesnej reformy wychowawczej, której postępowością *sine qua non*, ma być mianowicie: walka ze zmysłem religijnym w człowieku.

Przez ziemie Starego Łądu idzie jeszcze pochodem liczebnie znacznym, zwartych ogniów łańcucha, w tej upiorowej szacie t. zw. „Myśl wolna.“ Acz nie bez subtelnej ironii nazwana przez swych oponentów „powolną“, idzie uparcie w ślad za ideałami *walki*, wrogiej zasadzie *solidarności* spraw ludzkich. W kształcie obecnym stanowi ona w swem skostnieniu starczem antytezę tych dążeń ludzkiego ducha, które znachodzą ujście w wiekuście zdroje życia podsycającym pierwiastku nieskończoności. Zastojami martwoty znaczy się przeto dziś już przeżywająca się w sobie, bo niejasno pojęta „wolnomysłność“, z wolnością myśli *nowej* tak mało mająca wspólnego, „wolna“ myśl ludzka, płynie tylko ze źródeł *pełni* rozwoju człowieczego. I to jedyny postulat jej Wyzwolenia.

W kierunkach reformatorskich dążeń Europy, jak to widzimy np. we Francji, odnośnie do kierunków szkolnictwa, ten przeżytek jest jednak bardzo popularny.

W szkołkach etycznych Ameryki, tego skostnienia niema. Odnośnie do postulatów wychowania religijnego, wszyscy światli pedagogowie oświadczają się *za*, nie *przeciw*. Postępową myśl staje twardo w obronie kształtowania *wsrystkich* stron rozwojowych organizacji ludzkiej, a zatem i zmysłu religijnego, jako jednego z darów duszy, wrodzonych człowiekowi.

Te dwie różnice kultur odbijają się w sposób bardzo zaamienny na kierunkach ruchu etycznego Starego i Nowego Łądu. Europejski ruch etyczny w szerokiej organizacji instytucji oświaty popularnych, jak np. uniwersytetów ludowych we Francji, hołdując zasadom „wolnomysłności“, przenosi swój sceptycyzm religijny w sferę wskazań życia moralnego, walcząc z bezwzględnością doktrynerską ze wszelkimi przejawami od kierunku tego „niezależnej“ myśli. Wszelki sąd zdrowy, samodzielny, wszelką odwagę przekonania indywidualnych, piętnuje się tu hańbiącym

Czytelnictwo ludowe polskie na Litwie.



mianem „wstecznicstwa,“ wrogiemu interesom „postępu.“ Ten taran bezwzględności czyni oczywiście swoje, drogą suggestywnego poddawania myśli szerokim masom bezkrytycznym, tłumiąc w nich wszelkie zasady rozwoju samoistności sądu.

Zasada samoistności dróg myślowych z góry tu wykluczona, zaś w tych warunkach, postęp jednostki ludzkiej idzie tylko po drogach sztucznych, przeto w stosunku do postulatów pełni rozwoju człowieczego, wstecznych.

Amerykański ruch etyczny kroczy natomiast śmiało po drogach wskazań ewangelicznych. Wychodzi on z zasady, że poprowadzić ludzką na drogi *kultury humanitarnej* da się jedynie sposobami wcielania w życie wysokich ideałów Ewangelii. Sprawiedliwość ustosunkowań międzynarodowych i między-ludzkich może się oprzeć tylko na postulatach *zgody, łączności, braterstwa*. Zaś budowanie tych dźwigni wysokich kultury ludzkiej, nie może mieć nic wspólnego z zasadami etyki „zab za zab,“ „oko za oko,“ praktykowanej szeroko na placówkach wszech kultur pogaństwa, duchowi Chrystyanizmu zasadniczo wrogich.

Takie podstawy *kultury humanitarnej*, przeto *jedynie postępowej* cywilizowanych społeczeństw, kłaść należy fundamentalnie głównie w *duszach* ludzkich. Wszelka litera postępu będzie tylko martwą literą „na papierze,“ nie w życiu, gdy wykonawcą jej postępowych wskazań będzie apostępowy, uwsteczniiony w rozwoju swoim, człowiek.

I oto wielka podstawa *kultury etycznej* w wychowaniu. Wychowawcy amerykańskich szkół etycznych kształcą się przeto interektaalnie i moralnie, na ideałach wysokich. Wzory postępowania, za przykładem żywym swych wychowawców, czerpać mają z życia Chrystusowego.

Dewizą etyki wychowawczej, którym hołduje reformatorski system Sheldonowski jest: „W jego ślady“ *). W duchu tym prowadzi przeto religijno-moralną kulturę młodzieży szkolnej, wyrabiając w niej cześć dla religijnego kultu, metodami ćwiczeń po temu odpowiednich. Wychodząc z zasady, że zmysł religijny, jako jeden ze zmysłów orientacyjnych natury wyższej, musi być kształtowany właściwie w widokach „oświaty z ducha“ rozwija się ten zmysł odpowiednio, aby nie uległ skrzywieniu w kierunku fanatyzmu, sekcjarstwa, faryzeizmu lub bezwyznaniowości.

Bez kształcenia ducha religijności w jednostce ludzkiej nie da się pomyśleć logicznie *wykształcenie integralne* człowieka, który w stosunku do *pełni* rozwoju swego *Ja* ma być *w postępie*. Normalny rozwój istoty ludzkiej nie może bowiem polegać na forsownem wyrzucaniu lub doprowadzaniu do zaniku zmysłu religijnego, jako przyrodzonego człowiekowi daru wzbijania się duchem do sfer nadprzyrodzonych.

(Ciąg dalszy nastąpi).



*) Jest to również tytuł głośnej powieści Sheldona, w której autor przeprowadza humanitarną reformę życia pod tem wysokim hasłem: „W Jego ślady!“

Kto znał warunki, w których Litwa pograżona była przez długie lata, tego zadziwić może tytuł niniejszego artykułu. Czyż mogła być mowa o czytelnictwie tam, gdzie widok abecadła, katechizmu, wszelki ślad jakiegokolwiek oświatowej nad ludem, wzbudzał zgrozę i oburzenie władz, a był karany srożej, od wszelkich przestępstw, wykraczających przeciw przepisom kodeksu prawnego i moralnego.

Jednak, nie pomogły argusowe oczy setek żandarmów, nie pomogły surowe, barbarzyńskie rozporządzenia zabraniające nieść w ciemne tłumy promyczków światła. Powoli, ostrożnie, prowadzono pracę, bez względu na niebezpieczeństwa, jakie taka praca siałą mogła na głowy mężnych, a cichych pracowników.

Im większe było prześladowanie, im sroższe były rozporządzenia, tem zda się z większą gorliwością pracowano, z większą zręcznością wymykano się z zarzuconych na wszystkie strony sieci, w celu wyłapania tych, zdaniem władz administracyjnych, szkodników, którzy usiłowali zbliżyć się do ludu, by rozpalic ich umysły i serca szlachetnym ogniem umiłowania tego, co szlachetne, piękne i dobre, a zwalczyć tę straszną ciemnotę, w której lud umyślnie starano się utrzymać, gdyż rozumiano, że powolniejszym narzędziem w rękach rządu będzie stado ludzkie, niż ludzie z rozbudzoną samowiedzą narodową, rozumiejący, że wrogiem ich to nie „pan“ cierpiący wraz z nimi, lecz ta ręka przepotężna, gniożąca wszystkich z równą bezwzględnością.

Rozumie się, że owoce, w takich ciężkich warunkach prowadzonej pracy, nie mogły być bardzo obfite, ale trzeba było patrzeć własnymi oczyma, jak ona prowadzona była, by zrozumieć podniosłość, dojrzeć rezultaty jej, prawie niedostrzegalne dla niewtajemniczonych oczu, a jednak w skutkach nieobliczalne.

Dziś, dzięki trochę lepszym warunkom, można odchylić rąbek zasłony, kryjącej przez lat tyle mrówczą pracę ludzi, usiłujących z polskim elementarzem i polską książką, wnieść pod strzechy chat polskiego ludu, mieszkającego na Litwie światło, dobro i ukochanie kraju i ludzi.

Dziś zlegalizowana „Oświata“ istniała już od lat piętnastu w Wilnie i miasto całe podminowane zostało siecią kretowisk, tajnych szkółek, które ukryte w jakichś nędznych izdebkach w suterrenach, tuliły zastępy dzieci, garnące się chętnie do nauki i umiejące utrzymać w sekrecie, gdzie jest szkółka, do której uczęszczają i kto w niej uczy.

Gdy spostrzeżono, że policja wyszpiewowała taką szkółkę, wynoszono się pospiesznie do innego kretowiska i na nowo rozpoczynano energiczną pracę.

Po wsiach, niepodobna było myśleć o zakładaniu szkółek, ale uczono gdzie i kogo przyłapać można było. Dla tych, którzy już czytać umieli, należało postarać się o strawę duchową, ale w jaki sposób dostarczać jej? Otóż obmyślono tajną kolporterkę książeczek ludowych; utworzono biblioteczeki, złożone z kilkudziesięciu tomików, traktujących popularnie wszystkich dziedzinach wiedzy, i rozsyłano do stowarzyszonych, rozproszonych nie tylko po guberni Wileńskiej, ale po całej Litwie i do chat wieśniaczych, sypały się, jakby cudem polskie książeczki, dostarczające w długie, zimowe wieczory rozrywkę, naukę, krzepiąc serca, rozwijając umysły, otuchę i nadzieję zaszczepiając w duszach. Pesymiści twierdzili, że z takiej roboty nie wiele korzyści, wieśniak najczęściej mało rozumie, czyta

aby czytać, a z pewnością, po największej części, do książki nawet nie zagląda.

Nie tak jednak było; dziś widoczne są tego dowody, wieśniak nauczył się czytać, potrzebuje tego i sam już prenumeruje pisma ludowe; mało tego, redakcyje pism ludowych, zasypane są listami, mocno szwankującymi pod względem stylu i ortografii, ale wyrażającymi jasne zapatrywania na to, jaką powinna być gazeta dla ludu przeznaczona.

W Wilnie samem czytelnictwo ludowe tak szybko się rozwinęło, że dziś ogromnie dotkliwie czuć się daje brak książek, dla zaspokojenia głodu rzesz, pragnących umysłowego pokarmu.

Dawniej, marzyć nawet nie można było o jakiejś czytelni dla ludu, kiedy na czytelnię dla inteligencji nie można było uzyskać pozwolenia, ale przed dwoma laty, na wiecu narodowym, rzucono myśl założenia biblioteki dla ludu, rozumie się tajnej. Skwapliwie chwycyło się tej myśli, korzystano z tego, że uwaga władz czem innem była zajęta, podniesiono tę sprawę w prasie, nawoływano do składania ofiar w formie książki, podano projekt, by razem dla dorosłych, młodzieży i dzieci stworzyć bibliotekę i czytelnię i w bardzo krótkim czasie, powstała czytelnia imienia Mickiewicza.

Inicyatorowie ogromnie zaciekawieni byli, jak się sam lud do tej sprawy odnosić będzie. No i stał się fakt dziwny, młodzież i dzieci nauczyły starszych czerpać z tego źródła wiedzy dla nich otwartego. Z początku, starsi nie zjawiali się wcale, ale gromadnie przychodziły dzieci, prosząc o „bajki prawdziwe i nieprawdziwe“ o „takie opisanie, jak to dawniej było“ i t. d. i unosiły z wielką uciechą po kilka książek, które odnosiły po jakimś czasie, błagając, o danie im również ciekawych.

Po paru miesiącach, coraz częściej rozlegały się w czytelni takie słowa: „paniusiu, to dla mnie, a jeszcze dla tatusia, mamy, dziadusia.“

I lody obojętności, zwykłej u ludu, pękały — niepodobna zaspokoić wszystkie pragnienia; trzy razy na tydzień wydawane są książki; a w dniu te, praca wre jak w ulu, nieraz dzieci z płaczem odchodzą, gdyż zbrakło książek.

Czytelnia wzbogaca się wciąż nowymi ofiarami, z których naturalnie część, jako nieodpowiednią dla czytelni ludowej, odrzucić trzeba, ale tego wszystkiego, wobec ogromu zapotrzebowania, wiecznie mało.

Zarząd czytelni tworzy szerokie plany na przyszłość, chce takie czytelnie pootwierać we wszystkich dzielnicach miasta, i wszędzie będą one miały ogromne powodzenie, ale tym pięknym planom stoi na przeszkodzie brak funduszków. Od jesieni, przy Towarzystwie opieki miejskiej nad biednymi, ma powstać nowa czytelnia. Czytelnia Mickiewicza przyłączyła się do „Oświaty,“ korzystając z jej ulegalizowania, ale musiano specjalnie wyrobić pozwolenie dla niej, gdyż, jak wiadomo, u nas napotyka się zawsze na jakieś kruczki, niweczące swobody dane na piśmie. Gdy chciano czytelnię poprostu podebrać pod ustawę „Oświaty,“ która ma prawo czytelnie otwierać, władza odpowiedziała, że „Oświata“ ma prawo otwierać, ale tylko dla swoich członków, a publiczne czytelnie muszą przejść przez prawem przepisane manipulacje zatwierdzenia.

W tych dniach otworzono pierwszą księgarnię ludową, gdzie za bajecznie niską cenę książeczki są sprzedawane.

Gorzej więc kaganek Oświaty i wciąż nowymi środkami zasilany będzie; wiele on ma jeszcze do zrobienia, niejeden podmuch północnego wiatru pokusi się o jego stłumienie, ale tego już dokonać nie potrafi, iskry rzucone w serca i dusze ludu, rozpalą tysiące ognisk, które podtrzymywać będą kulturę na-

sza, narodowość, przekonają pobratymce plemiona, że nie my, Polacy, mieszkający na Litwie i na równi z Litwinami kraj ten kochający, jesteśmy ich wrogami, lecz ci, co tę sztuczną nienawiść plemienną rozbudzili i podnieść ją usiłują.

Polak, gorąco kochający swoją narodowość i swoją kulturę, uznaje też same uczucia i swoją kulturę, uznaje też same uczucia w bratnich plemionach, ale że, nie przeszkadzając nikomu, chce pracować dla ludu polskiego poświęcić, to mu to za występki poczytywać—jest grzechem.

Emilia Węslawska.



MARION. CHWILA.



I.

Lustro odbijało wysoką postać Żelskiego w oprawie garnituru wiosennego. Patrząc uważnie rozczesał wąsy małym grzebykiem, schował go do kieszeni, wziął kapelusz, rękawiczki i rzuciwszy ostatecznie spojrzenie w lustro, wyszedł.

Na schodach stróż powitał ukłonem lokatora z pierwszego piętra. Niezłe panisko, gdera bo gdera, skąpy jest, ale miewa czasami chwile szczodrości. Dzieciakowi stróża dał raz rubla ni ztąd, ni zowąd, za nic,— ot, chyba za to, że bęben miał pyzaty buzię i szafirowe oczy. Za to na drugi dzień zwymyślał jego samego za koncert jakichś Czechów, którzy wtargnęli na podwórze. Ot, jakiś narowisty. Z tem wszystkim niezły człowiek.

Żelski tymczasem był już na ulicy.

Adwokaci, towarzysze jego, spieszyli z tekami do sądów. Pięknie poubierane panie, żony filarów miasta, z godnością i dystynkcyą szły do ogrodu, była to bowiem godzina spacerowa. Zamieniano ukłony, uśmiechy. Wszyscy pobłażliwym spojrzeniem obrzucali młodego mężczyznę, który szedł, od tak sobie, taki wolny pasażer—z pustymi rękoma. Wiedzieli, dokąd idzie, od iluż bowiem lat codziennie odbywał ten kurs! Przyszyczał się spotykać te same osoby, w tych samych miejscach, o tej samej godzinie, z tym samym uśmiechem pobłażania na twarzy. Czas prawie niedostrzeżalnie przechodził nad tą prowincją, gdzie się nic nie stawało i nic nie czyniło... Czasami ktoś umarł, ale rzadko, bo ludzie tu jakoś konserwowali się w bezruchu, niby mumie w pyłe wieków. Wtedy nad grobem przemawiało się górnio i chmurnie, a miejscowa gazeta, żyjąca z subsydyów matadorów i w dziale informacyjnym okradająca z bezczelnym spokojem pisma warszawskie, donosiła (zawsze w jednych i tych samych słowach):

„I znowu świeża mogiła. Nad zwłokami nieodżałowanego obywatela przemawiał ze zwykłą swadą i darem słowa nasz znany mecenas Żelski.“

Gdy on umrze, napiszą to samo, z tą różnicą, że on tu będzie nieodżałowanym obywatelem, a swada i dar słowa po Bekwarku przejdą na kogo innego.

Czasami doznawał rzetelnego zdumienia, gdy np. Wacia albo Stasia, którą znał dzieckiem, wracała z pensyi warszawskiej, jako ukończona panna. Wtedy przypominał sobie, że ma lat trzydzieści siedm, a ośm już wegetuje w tem mieście.

— *Ma foi!*—zartował w kółku męzkim.—Starzeję się! Gdyby mi powiedziano: „Idź na czwarte piętro, to pocałujesz ładną dziewczynę,“ dalibóg, nie chciałoby mi się.

Mówił to i uśmiechał się. Wiedział, że kobiety szaleją za nim, i że gdyby chciał tylko... Ale on nie chce, nie chce!... Pożąda spokoju... Za idealne uważałby takie społeczeństwo, gdzieby można spać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Stosownie do tych zasad urządził sobie życie, to jest nieurządził wcale. Pracował tylko tyle, ile koniecznie było potrzeba, by się utrzymać. Wiedział, że co wieczór czekają na niego otwarte drzwi wszystkich familijnych domów miasta. Gdzie się zjawi, wszędzie bywa pożądanym. Wywalczają? Co? Złocene wieko od trumny?...

Czasami, nagłony przez życzliwych, aby jakoś odmienił, uregulował życie, dumając, że możeby i niezłe było wziąć jakieś młode stworzenie, ładne, miłe, i oczywiście, bogate. Ale gdy pomyślał, ile to trudów i zachodu... konkury, bywanie, nadszkanie, całowanie mamy po rękach, narzeczeństwo z kwiatami, ślub, wesele, lzy, pocałunki, stan małżeński, wojny domowe, zła służba, przypalona pieczeń, części garderoby damskiej w salonie, pisk dzieci... Nie! Nie! Woli jakąś cichą przystań, choć w cudzem gnieździe...

Taką przystanią był dla niego dom kolegi Komarskiego.

Dlaczego ten akurat?

Komarski był człowiekiem spokojnym, rozsądnym, nie romantykiem, któryby codzienne włości żony z Żelskim wziął tragicznie. Szepłano mu nieraz, że puszczać tak często pięknego kolegę, to puszczać wilka do owczarni. Komarski się uśmiechał tylko. Wiedział, że hamulcem silniejszym nad cnotę i honor, jest — przesył.

Gdzieindziej, gdy wchodził niespodzianie, witały go okrzyki zmieszania. Panny uciekały na gwałt, słychać było szepty: Zapalić lampę! dorobić leguminę!...

Pani z ugrzeczniwym uśmiechem prosiła do sali, zerkając, czy gdzie nie leży jaka zapomniana ściereczka. Pan, optymistycznie widząc w nim zawsze materyał na konkurenta jednej z nimf domu, opowiadał cuda o jakichś hypotetycznych majątkach na księżycu. Panienki wracały świeżo upudrowane, podsuwały mu do oglądania liczne albumy familijne, z których zapomniano kurz obetrzeć. Z brudnymi rękoma przechodził do jadalni. Zastawa składała się z porcelany w niebieskie kropki. Żelski nie przelknąć nie mógł. Jakże można jeść na niebieskich kropkach.

W innym domu znów, naprzeciw ponsowej kanapy, gdzie go zwykle sadowiono, wisiał oleodruk z napisem „Sąd Parysa.“ Jedna z bogiń miała rękę tak niezgrabnie do ramienia przyklejoną, że Żelski, rozmawiając z panienkami, wciąż drżał ze strachu, a nuż ta biała szmata upadnie między zgromadzonych mieszkańców Olimpu? Zagadnienie to tak go zaprzętało, że nie odpowiadał na pytania,

a przeciągnięte oblicza panien pokrywały się szarym pyłem zawodu. Kiedyż, ach kiedyż nareszcie ten piękny mężczyzna ze stanowiskiem uklęknie przed papą i mamą i sięgnie po rączki i wianuszek córeczki zacnego domu!

U Komarskich natomiast wszystkie zakulisowe sprawy były niewidzialne, obiady i kolacje uregulowane jak wschód i zachód słońca. Pan kupował sztychy bez zarzutu, a jeśli podawał wino, to wyborowe. Pani była młoda, ładna, nie tak mądra, aby stać się nudną, ubierała się gustownie, używała perfum dyskretnych. Głos jego, Żelskiego, miewał tu zawsze znaczenie decydujące. Dzieci były ładne, czyste, nie płakały nigdy, a jeśli płakały, to gdzieś w swoim pokoju, tak daleko, że tego nie było słychać.

Codziem, gdy koledzy jego, z Komarskim włącznie, dążyli do sądów, biur i hipotek, on kierował się na skwer, spotykał z ładniutką osobką i poprzedzani przez dwie lalczki, papłące z boną po francuzku, spacerowali, aż póki na zegarze wieżowym nie wybiła godzina trzecia—godzina powrotu męża i czas obiadu. Pogawędka była płytka, dostatecznie płytka, aby stanowić kwieciste wytchnienie po twardych sprawach życia. Filozofie z kobietą!

Żelski widzi już kancistą, chudą i żółtą studentkę o czerwonych oczach i niebieskich okularach, która śliniąc się woła: „Pan uważa, że wiekowe, niewolnicze stanowisko kobiety w społeczeństwie burżuazyjnym...“ Nie, nie, on nic nie uważa, kłania się nisko i umyka!

Przeznaczeniem kobiety jest żeby była ładna i młoda. Zasługi wieku, macierzyństwa, cnoty domowe i społeczne... zapewne on to wszystko szanuje niezmiernie, ale zdaleka... Nie jego brać na cnoty na emeryturze! Wszystkie szanowne a leciwe damy mają jednaki układ ust, jednako płaskie figury, jednacie czarne staniki, pod którymi odgaduje się kilkuletnie przybrudzone gorsety. Rodzonej matki nie mógłby kochać, gdyby nosiła koronkowy fanszonik i stary gorset. Na szczęście czy nieszczęście matki niema, niema też rodziny, dobry los nie udarował go żadną ciocią, ani wujem. Smętne to ze względu na kompletne wyjałowienie nadziei spadku... z drugiej strony jednak... Ot, teraz idzie sobie swobodny, nie trapiiony żadnymi kłopotami, co najwyżej tem, że się spóźnił, i Komarska z dziećmi czeka pewno oddawna...

Komarska czeka istotnie. W nowym kostiumie, w kapeluszu z piórami, wygląda możliwie.

Witają się przyjacielskim uściskiem dłoni. Bona bierze dzieci za rączki i postępuje przodem.

— Słyszał pan o Zawadzkiej?

— Nie słyszałem.

— Paradna historia.

Opowiada mu jakąś ploteczkę z ożywieniem, z tym osobliwym wdziękiem, charakteryzującym niektóre ładniutki i głupiutki niewiasty. Żelski słucha z półuśmiechem i jednocześnie kłania się rozmaitym mijającym ich paniom.

Komarska w głębi duszy jest dumna, wie, że jej zazdroszczą. Niech się wściekają baby!

— Dziś musimy wrócić wcześniej, bo mąż wyjeżdża zaraz po obiedzie.

— Czy daleko?
— Nie wiem. Nie mówi mi nigdy o interesach.

— Znadto mu pani swobody zostawia.
— Nie jestem zazdrosna.
— To źle. Małżeństwo powinno być wzajemnie zazdrosne o siebie.
— A pan będzie zazdrosny o swoją żonę?
— Moja żona!... Takiej mitologicznej istoty nie umiem sobie wyobrazić.

Komarska się zaśmiała. Lubi, gdy tak mówi. Nie kocha go — cóż znowu! jest i będzie uczciwą żoną... ale zawsze dotknęłoby ją niemile, gdyby ni ztąd ni zowąd trzeba było zaniechać spacerów codziennych dlatego, że jakaś tam panna...

— Może się pan pogniewa na mnie. W imieniu pana i naszym przyrzekłam wizytę...
— Łaskawo nieba! Komuż tam znowu!
— Chmurczycowi. Spotkałam go na ulicy, mówił, że chciał napisać, ale skoro się widzimy...

— Tam u nich zawsze pełno kuzynek, podlotków, krzyki, rwetes...
— Tak prosił, nieustępował, musiałam dać słowo, że będziemy. Mają gości, wyprawiają dla nich wieczór.

— Jest jeszcze i wieczór!... Napewno tańczący, boć u nich spokoju człowiekowi nie dadzą, póki nie obtrzęsą wszystkich przytomnych niewiast.

— Wstydz się pan być takim wygodnikiem!...

— Pewnie i droga straszna...
— A choćby! Muszę pana choć raz zreformować!...
— O, co do tego, bezowocna praca, krokiem nie ruszę się z miasta!

Pani Komarska zrobiła ładny dąsik. Ona miała naturę nieco romantyczną i nie byłaby od tego, żeby młody człowiek popełnił dla niej jakie szaleństwo, choćby nawet z wykroczeniem przeciwko kodeksowi towarzyskiemu. A on!... Zwrócony profilem, walczył z wiatrem, który mu gasił jadaną zapalną pod drgiej.

Westchnęła.
— Droga jest doskonała, a co do tańca, wymówiłaś pana i Chmurczyc przyrzekł mi, że nikt nie będzie pana naglił...

— O to rozumnie pani postąpiła!
— Więc jedziemy, prawda, panie Jerzy?
— No, jeżeli pani ręczy, że nie nadwerzę moich starokawalerskich gości...

Po wielu mozolach udało mu się zapalić papierosa.

— Eheu! Cierpliwość zwyciężyła. Maniu, jak to mówi bajeczka?

Dziewczynka ustawiła się w pozie do deklamacyi:

„Cierpliwością dokazała,
Że uległa kropi skalał...”

— Ot, to, to! „Złotowłosa“ Jachowicza.
Komarska patrzyła dziwnie. On — i starość... to wieczne kokietowanie starością. Zapragnęła go podrażnić.

— Że się panu chciało zadawać sobie tyle trudu dla marnego papierosa!...
— Epiktet, którego filozofię cenię, radzi, między innymi, znosić przykrość, która w następstwie sprowadzi przyjemność. A teraz,

dziateczki, wracajmy do domu, bo papa przyjdzie z sądu.

— Do niedzieli tedy! — pożegnała go pani Komarska.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zjazd kobiet polskich.



Sekcja ogólnooświatowa.

Posiedzenie drugie.

W skutek wyjazdu p. Zuzanny Morawskiej, oraz nieobecności jednej z aseserek, powołano na przewodniczącą zebrania p. Aleksandrowiczównę ze Lwowa, a na asesorkę p. Łęcką z Kalisza. Gospodyni sekcji p. Z. Bielińska, odczytała listę prezydium w jego zmienionym składzie, poczem rozpoczęto czytanie referatów w kolei porządku dziennego.

Eugenia Żmijewska: „Stanowisko rodziców wobec prądów postępowych.“

Wiek XX-ty nazwano „Stuleciem dziecka“, lecz możnaby go również nazwać wiekiem bankructwa rodziców. Istnieje smutny rozłam między młodem a starszym pokoleniem, a przepaść ta pogłębia się coraz więcej. Nie należy tu szukać przyczyn w radykalizmie dzieci, wina jest raczej po stronie rodziców. Rodzice nie umieją się dostroić do ducha młodzieży, której właściwością jest, że szuka podnioślejszych haseł, a nie może poprzestać na utylitarnym kierunku życia.

Dawniejszy system wychowania polegał na zupełnym ubezwłasnowolnieniu dzieci, na zupełnym zapoznawaniu ich własnych dążeń. Musiała nastąpić reakcja, a w przeciwstawieniu do dawniejszych dzieci, dzisiejsze są już nie samodzielne, ale samowolne i rozruchane. Rola rodziców jest więc podwójnie trudną, a w wychowaniu istnieje ciągle szarpanina, gdyż rodzice nie stoją na wysokości swego zadania, zwłaszcza wobec tych komplikacji, które obecna chwila przełomowa sprowadza.

Dalej poświęciła referentka dłuższy ustęp określeniu postawy rodziców wobec strejku szkolnego *).

Cecylia Śniegocka.

Mówczyni rozważa działalność s. p. Maryi Wysłouchowej ze Lwowa.

Na pierwszym Zjeździe kobiet w Zakopanem, przed siedmiu laty, Marya Wysłouchowa wygłosiła referat o „doli kobiet wiejskich.“ Natychmiast utworzono komitet, mający na celu wydawanie pisma dla kobiet wiejskich, p. t. „Przodownica.“ S. p. Wysłouchowa była redaktorką tego pisma, a gdy później z rozmaitych względów usunęła się od tego, zaczęła wydawać pismo ludowe „Zorzę.“ „Zorza“ była redagowaną doskonale i może służyć za wzór, jakim powinno być pismo ludowe. Pragnąc uczcić pamięć s. p. Wysłouchowej, kobiety w Galicyi utworzyły instytu-

cję oświatową jej imienia i zaczęły wydawać nowe pismo p. t. „Zorza ojczyzna.“

Mówczyni proponuje, aby i w Warszawie utworzono filię tej instytucji z sekcjami: 1) Sekcja dla służących, 2) Sekcja lektoratów, 3) Sekcja redakcyjna. Ostatnia z tych sekcji miałaby na celu zasilanie „Zorzy ojczyznej“ i propagowanie jej u nas.

Konstancja Łozińska (z Kijowa): „Matki-dyletantki.“

(odczytany przez p. Helenę Kraszewską).

Główną wadą wychowania dziewcząt naszych jest brak wszelkiego przygotowania do zawodu matki. Macierzyństwo jest obowiązkiem, którego powinny się podejmować jedynie kobiety z odpowiednim powołaniem, z uzdolnieniem fizycznym i moralnym. Kobiety, które tych danych nie mają, nie powinny wychodzić za mąż, nie powinny brać na siebie obowiązków, którym sprostać nie zdołają. Zakładanie rodziny jest wielką odpowiedzialnością, której lekkomyślnie podejmować się nie należy *).

(Po referacie tym kilka osób zapisało się do głosu. Wywołał on w końcu zebrania ożywioną dyskusję).

Felicja Wojnowa: „O stowarzyszeniach polskich w Odessie.“

Kolonia polska w Odessie liczy przeszło 30 tysięcy osób. Przez bardzo długie czasy jedyną instytucją łączącą Polaków, było: „Katolickie Towarzystwo dobroczynności.“

Stowarzyszenie to, mając nominalnie barwę wyznaniową, nie mogło trzymać się narodowej wyłączności i przyjmowało w poczet członków swoich ludzi rozmaitych narodowości. Polacy jednakże zawsze stanowią większość i dlatego prezesem Katolickiego Towarzystwa dobroczynności zwykle jest Polak. Towarzystwo to rozwijało działalność bardzo gorliwą, spełniając wszystkie zadania, jakie w ramach tej instytucji pomieścić się dały. Utrzymywano więc przy kościele szkołę katolicko-polską, dom sierot, przytułek dla kalek i starców, biuro stręczących służby domowej.

Niezależnie zaś od tej instytucji, utworzono ochronę, stołówkę dla biednych dzieci, kolonie letnie, patronat, kasę pożyczkowo oszczędnościową.

W Odessie od wielu już lat istnieje szkoła czysto polska: pensjonat dla pańien, założony przez p. Maryę Drzewiecką, zasłużoną działaczkę narodową.

Próbowano zorganizować coś w rodzaju kursu polskiej. Były to t. zw. „srody polskie;“ zbierano się na odczyty, konferencje, łącząc rozrywkę z samokształceniem. Trwało to niedługo, rzecz się wydała, a organizatorów srogo prześladowały władze za tę czysto kulturalną działalność.

Dopiero w r. 1906-ym powstały trzy polskie stowarzyszenia: „Dom polski“, „Lira“ i „Ognisko.“

„Dom polski“ jest zogniskowaniem robotników naszych, których całe zastępy tułały się dotąd w tem kosmopolitycznym mieście po szynkowniach. Dzisiaj w „Domu polskim“

*) Referat ten również drukowany będzie w naszym piśmie.

*) Referat ten drukować będziemy w całości.

znajdują odpoczynek, radę, rozrywkę i naukę. Założycielem i prezesem „Domu“ jest p. Kalenkiewicz.

„Lira“ jest stowarzyszeniem dramatycznym, a chcąc żywym słowem doskonalić na obczyźnie mowę ojczystą, urządza przedstawienia amatorskie w Odessie i po za jej granicami.

„Ognisko“ jest klubem polskim, daje swym członkom estetyczne i umysłowe rozrywki, i stanowi łącznik dla całej kolonii naszej.

Choć tak daleko od ojczyzny, aż nad brzegi Czarnego morza rzuceni, mieszkańcy Odessy jednak pamiętają, że są dziećmi jednej narodowej rodziny i czujnie pielęgnują ducha polskiego na tej odległej placówce.

Emilia Bohowiczowa (z Kalisza): „Wychowanie dzieci proletariatu miejskiego na prowincyi.“

Stan obecny i warunki wychowania dzieci robotników miejskich, niezmiernie wiele pozostawiają do życzenia. Referentka badała tę kwestyę, jako członkini kaliskiego oddziału Towarzystwa higienicznego i zapoznaje nas z działalnością Towarzystwa w tym kierunku. Koniecznym jest usystematyzowanie opieki nad dziećmi, przez oddziaływanie na wychowawców, a zwłaszcza na matki, przez urządzenie dla nich odczytów i pogadanek pedagogicznych.

Referentka podaje projekt utworzenia Towarzystwa opieki nad moralnym, umysłowym i fizycznym rozwojem dzieci proletariatu we wszystkich miastach,—instytucji, któraby pozostawała w stałych stosunkach z warszawskim Towarzystwem opieki nad dziećmi i Towarzystwem badań nad dziećmi.

Referentka postawiła również wniosek za zawierania stowarzyszeń dziecięcych, uważając takowe za czynnik uspołeczniający.

Adelina Zajkowska (z Łucka).

Mówczyni w krótkim zarysie opisuje działalność kobiet na Wołyniu, gdzie pomimo nastroczających się trudności, są one czynnymi i gorliwymi pionierkami oświaty. W pracy oświatowej największą obecnie przeszkodę stanowi brak łączności ze środowiskami polskiego ruchu umysłowego, brak odpowiednich wskazówek i pomocy. Referentka proponuje utworzenie centralnego Związku oświatowego, wielkiej instytucji, któraby zogniskowała ruch oświatowy wszystkich dzielnic i kolonii polskich. Potrzeba takiej łączności na oddalonych kresach ogromnie odczuwać się daje.

P. Aleksandrowiczówna (ze Lwowa): „O oświacie ludowej w Galicyi.“

Największa instytucja oświatowa w Galicyi, Towarzystwo Szkoły Ludowej, stoi na gruncie zupełnie bezpartyjnym. Kierownicy jej trzymają się zasady, że lud trzeba tylko uczyć, a on sam znajdzie sobie później wskazówki polityczne.

Towarzystwo Szkoły Ludowej składa się więc z ludzi rozmaitych przekonań, którzy zgodnie obok siebie pracują. Ta zgodność pozwala Towarzystwu rozwijać się bardzo szeroko,—oddziały jego istnieją nawet na Szlaku austriackim i na Bukowinie. Towarzystwo działa w bardzo wielu kierunkach, ciągle rozszerzając zakres swej akcji. Zadania jego są następujące: zbieranie funduszków

na zakładanie normalnych szkół krajowych, otwieranie szólek ludowych rozmaitych typów, utrzymywanie czytelni ludowych, urządzenie obchodów narodowych z odczytami. W czasach ostatnich Towarzystwo założyło bursy dla kształcącej się młodzieży; instytucje te dostarczają niezamierzonym pomocy w rozmaitej formie, bądź przez udzielanie zapomóg, bądź też przez fundowanie pensyonatów, tanich kuchni i t. p.

Od lat kilku istnieje w Galicyi Uniwersytet ludowy i urządza serye wykładów w miastach i na prowincyi.

W obecnej chwili czynione są starania o zjednoczenie wszystkich galicyjskich kół oświatowych w jeden centralny Związek.

Po wyczerpaniu porządku dziennego, przewodnicząca odczytała wniosek przedstawiony zarządowi:

W N I O S E K :

Uważamy za konieczne, utworzenie w Warszawie stałego Komitetu oświatowego, którego zadaniem byłoby udzielanie wskazówek osobom pracującym w dziale oświaty na prowincyi.

Komitet składać się powinien z osób kompetentnych, których działalność zaznaczyła się już dodatnio zarówno na niwie pedagogii, jak i oświaty ludowej.

W dyskusji zabrała głos najpierw p. Sempłowska, podając projekt, aby uczestniczki Zjazdu, korzystając z bytności w Warszawie, zwiedziły miejscowe instytucje oświatowe.

Panna Marja Łopuszańska podnosi ważność projektu, rzuconego przez p. Zajkowską, i stawia wniosek, aby mieszkanki kresów na Zjazd przybyłe, korzystały ze sposobności i centralny Związek oświatowy dla kresów zapoczątkowały. P. Łopuszańska stawia na końcu nacisk na konieczność opracowania dobrego programu, zanim instytucja zawiązaną zostanie*).

P. Katarzyna Peszyńska, delegatka Koła demokratycznego Koła ziemianek ukraińskich, podnosi również gorąco myśl zjednoczenia kresów w łączności pracy.

P. Aniela Chmielińska z Łowicza z żalem zaznacza, jak zgubnie oddziaływać na bieg oświaty ludowej rozterki partyjne. W miejscowości, gdzie mówczyni pracuje, 40 procent analfabetów pozostaje bez oświaty, dlatego, że sam fakt walki pomiędzy dwoma kierunkami tejże, osłabia w nich zaufanie zarówno do jednego, jak i do drugiego z tych kierunków.

W dalszej dyskusji przemawiali pp. Łypaciewicz i Magnus, polemizując z sobą w kwestyi partyjności.

P. Gargas ze Lwowa mówił o znaczeniu rozrywek umysłowych dla ludu, podnosząc przede wszystkim kształcąca oddziaływanie teatrów amatorskich. W tej samej sprawie przemawia p. Weychertówna, poczem zarządzone głosowanie nad wnioskiem. Głosowanie wypadło pomyślnie, wniosek więc utworzenia stałego Komitetu oświatowego w Warszawie przeszedł jako uchwała Sekcji.

Następnie otworzono dyskusję na temat poruszony przez referat p. Łozińskiej. P. Weychertówna dowodzi, że nie powołanie i uzdol-

nienie do obowiązków macierzyńskich, jak chce p. Łozińska, o małżeństwie kobiety decydować powinno, ale miłość i pragnienie jej serca. Kobiety-zony, nie mające zdolności pedagogicznych, powinny powierzać wychowanie dzieci osobom obcym, mającym pedagogiczne przygotowanie.

Pani I. Moszczeńska zbija ostatni wniosek w gorących słowach podnosząc rolę matki w wychowaniu. Matka nigdy nie może być dla dziecka „rzeczą zbyteczną“, gdyż instynkt macierzyński wskazuje jej te drogi, do duszy dziecka, których nikt inny nie odnajdzie.

Na ten sam temat poczęła odczytywać referat p. Iwanowska, nie skończyła go jednakże, gdyż regulamin nie dozwalał dłużej nad pięć minut głosu w dyskusji zabierać.

Z. B.

(Ciąg dalszy nastąpi).



W setną rocznicę urodzin bohatera.

Giuseppe Garibaldi.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA.



(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XXIII-ci.

Wyprawa północna, leże zimowe i budowanie łodzi.

Nieprzyjacieli, podejmując wycieczki w głąb kraju, uprzednio obsadził piechotą obronne miejsca.

W tem położeniu znalazło się San José de Norte. Obronna ta miejscowość, leżąca na północnym brzegu zatoki laguny los Patos, stanowiła niejako jeden z kluczy tej laguny, którego posiadanie mogło stanowczo przeważać szalę zwycięstwa na naszą stronę. W magazynach owej warowni była złożona broń, amunicja i rozmaite części umundurowania, którego nie posiadali nasi żołnierze. Po za tem miejscowość ta była ważna ze względu na swe położenie, panujące nad wejściem do Laguny, będącej jedynym portem w prowincyi.

Przygotowania do wyprawy poczyniono w wielkiej tajemnicy. Pod murami San José wśród deszczu i przejmującego zimna stanęliśmy po ośmiiodniowym marszu, idąc dzień po dwadzieścia pięć mil. Wróg, na którego uderzyliśmy nagle, zanim się opatrzył, przekonał się, że nie jest w możności stawić nam czoła. Nasze wojsko rzuciło się jak huragan na mury i odrazu zdobyło warownię. Opanowaliśmy ją już około drugiej w nocy.

Na pomoc Brazylijczykom, którzy zatarasowali się w jednym z fortów, przybyły wojska z Rio Grande del Sol, miejscowości położonej o parę mil. W następstwie nieostrożnego obchodzenia się z prochem, główny fort, największy z czterech, nazywany Cesarским, dominujący nad całą okolicą, a opanowany przez nas w nocy, został wysadzony w powietrze, zabijając wielu ludzi.

Świetne nasze zwycięstwo, któreśmy w nocy wywalczyli, przeobraziło się około południa w klęskę, wszyscy rzucili się do straszliwej, bezładnej ucieczki. Dywizya pospieszy-

*) Możemy podać do wiadomości ogółu, że projekt ten zbliża się do urzeczywistnienia, co jako jeden z konkretnych wyników Zjazdu, z zadowoleniem notujemy.

(Przyp. refer.).

Niefortunny odwrót przez Serre.

ła do Bellavista na swe leże, ja zaś z resztkami marynarki podążyłem do San Simon, osady, znajdującej się nad brzegiem laguny los Patos. Czterdziestu ludzi, włączając w to i oficera, stanowiło obecnie całą moją marynarkę.

Nadchodziła już zima i to niezwykle surowa; trzeba więc było pomyśleć o przerwaniu walki, która miała być wznowiona z wiosną. Zatrzymaliśmy się w San Simon, w celu budowy i narządzenia paru łodzi, wypalonych z jednej sztuki drzewa, a także dla przerwania komunikacji z przeciwnym brzegiem laguny.

Owa rozległa i piękna posiadłość, naówczas zniszczona i porzucona przez mieszkańców i swego właściciela, została tymczasem przez nas zajęta.

W tym właśnie czasie, w dniu 16-ym Września 1840-go roku, Annitta powiła mi pierwotnego syna, Menotti'ego, który istotnie cudem przyszedł na ten świat, ponieważ matka piastując go w łonie, ustawicznie musiała znosić rozmaite niewygody i niebezpieczeństwa; raz nawet koń ją zrzucił, z tego też zapewne powodu dziecko urodziło się z blizną na głowie. Połóg odbyła Annitta w domu, położonym w bliskości małej miejsciny, zowiącej się Mustarda. Posiadacze tego domu, nazwiskiem Costa, zaopiekowali się Annitą z całą troskliwością, czem pocziwi ludzkie do dożgonnej zobowiązali mnie wdzięczności.

Żonie mojej szczęśliwie powiodło się znaleźć w domu tym schronienie. Kiedy wyzdrowiała, pomyślałem o bezzwłocznym przewiezieniu jej wraz z dzieckiem do Settembriny, gdzie niezbędnych funduszów byłoby mi dostarczyli moi przyjaciele, a zwłaszcza Blingini — ponieważ rzeczpospolita nie miała zwyczaju płacić swym żołnierzom, a i ja służyłem jej bez żadnego wynagrodzenia.

Doprowadzając do skutku to postanowienie, udałem się w drogę przez pola zalane wodą. Kiedy przejeżdżałem przez stare uprawne pole, nazywane Rossa Velha, zetknąłem się z kapitanem Massimo, który się do nas przyłączył.

Był on dowódcą straży koni rezerwowych. Do zajmowanej przez Massima miejscowości dotarłem śród ulewnej deszczu, połączonego z wiatrem; po przepędzeniu tam nocy, nazajutrz, śród jeszcze większej ulewy, udałem się w dalszą drogę, nie bacząc na zaproszenie męznego kapitana, który chciał mnie zatrzymać w swym domu, aż do ustalenia się pogody.

Po przybyciu do Settembriny i zakupieniu rozmaitych rzeczy sukiennych, wybrałem się z powrotem do San Simon.

Jadąc przez Rossa Velha, zostałem powiadomiony o fatalnym zdarzeniu, które rozegrało się tu zaraz po naszym wyjeździe. Ów sam Moringue, który zniemacka napadł mnie w Camacuan, podobnie i tu postąpił, nacierając na kapitana Massima i jego żołnierzy. Wszyscy prawie co do nogi zostali wraz z swoim dowódcą zabici, po rozpaczliwym oporze.

Moringue zabrał najlepsze konie i przewiózł do Porto Alegre.

Powróciwszy do San Simon, nie znalazłem ani mojej żony, ani też żadnego z mieszkańców. Wszyscy pierzchnęli do lasu przed wrogiem, który plądrował po całej okolicy. Po odnalezieniu mojej Annity wraz z dzieckiem, powróciliśmy do San Simon i tam zatrzymaliśmy się jeszcze przez pewien czas. Mieszkanie nasze znajdowało się na lewym brzegu rzeki Capivari.

Zbudowawszy tam i narządziwszy dwa statki, robiliśmy wyprawy na zachodni brzeg laguny los Patos. Przewoziliśmy również ludzi i korespondencję.

Tymczasem stan wojsk rzeczypospolitej pogarszał się z dniem każdym. Dwie walki nad Taguary'em i Nortem, spowodowały tak znaczne straty w naszych szeregach, że z batalionów pozostały właściwie tylko kadry. Ludność coraz bardziej względem nas obojętniała, a niejednokrotnie zdarzało się, że nawet przybierała nieprzychylną postawę.

Tym sposobem Brazylijczycy z każdym dniem brali nad nami górę, wreszcie postanowiliśmy zarzucić oblężenie.

Dywizya Canabarro, w której skład wchodziła marynarka, miała pierwsza wyruszyć w drogę i przedrzeć się przez przesmyk Serry, zajmowany przez generała brazylijskiego Labattue, urodzonego Francuza. Tuż za Canabarem miał maszerować z pozostałym wojskiem Bento Gonçalez.

Właśnie w owym czasie zakończył życie nasz Rossetti. Była to niepowetowana strata. Służył on w republikańskim wojsku, stojącym załogą w Settembrinie, którego oddziały miały przejść przez przesmyk Serry na samym ostatku. Otóż kiedy Moringue, prawdziwa plaga republikańców, napadł na ową garstkę ludzi, waleczny i nieoceniony Włoch, walcząc po bohatersku, zginął, przez wroga rozsiekany, w całym znaczeniu tego słowa.

Na całym świecie niema chyba ani jednego zakątka, gdzieby nie bieleły kości naszych szlachetnych i męnych żołnierzy; niema chyba ani piędzi ziemi, którejby ich posoka nie zrosiła!

Ze wszystkich odwrótów, oglądanych przeze mnie kiedykolwiek, ów, zarządzony podczas zimy, przez góry, przepaście, pośród ciągłej ulewy, był chyba najfatalniejszy. Parę krów, prowadzonych na uwięzi, stanowiło całe nasze pożywienie. Ludzie, zwierzęta i bagaże ginęły w falach mnogich rzek i strumyków Serry, wezbranych na skutek ciągłych deszczów. I tak wlekliśmy się coraz dalej, śród ustawicznej ulewy, nie mając się czem żywić. Dopóki starczyły nam nasze krowy, biedowaliśmy jako tako, ale później zajął nam w oczy straszny głód!

Rozgrywały się też okropne sceny! Stosownie do krajowego zwyczaju, wraz z wojskiem szło wiele kobiet, przy których naturalnie nie brakowało dzieci w różnym wieku. Z głodu, chłodu i zmęczenia, najęściej padały i marły owe kobiety i dzieci.

W południowej części prowincji o podzwrotnikowym klimacie, znajduje się w lasach mnóstwo soczystych owoców, jak: guaba, arassa i inne, — podczas gdy lasy, w których właśnie znajdowaliśmy się, są zupełnie pozbawione owoców. Rośnie tam tylko twarda trzcina *taquara*, nie wystarczająca dla zwierząt na pożywienie i jej to mam do zawdzięczenia, że dwa moje juczne muły padły śmiercią głodową.

Annitę przerażała myśl, że możemy postradać nasze dzieciątko, które w samej rzeczy tylko prawdziwym cudem uratowaliśmy od śmierci. W miejscach najbardziej niebezpiecznych, przy przepławach przez rzeki i strumienie, przenosiłem trzecziesięcznego malca na rękach. Z tuzina koni i mułów, stanowiących moją własność, pozostały mi tylko dwa konie i dwa muły, reszta padła.

Po dziewięciu dniami, przecierpiawszy najokropniejsze niewygody i męki, wydobyliśmy się nareszcie z lasu. Dotarliśmy nakoniec do departamentu Vaccaria, gdzieśmy pozostali, oczekując przybycia korpusu Benta Gonçalesa.

Moringue, nasz niestrudzony przeciwnik, na wieść o naszym odrocie, pogonił za ustępującym korpusem, napadając go i niepokójając nieustannie, z pomocą nieprzychylnych nam górali.

Umożliwiło to generałowi Labattue wyprzedzenie nas i ujęcie przed naszymi głównymi siłami,

Labattue, umknąwszy przed pościgiem, zniewolony był przechodzić przez dwa gaje, znane pod nazwą Mattos Portuguez i Mattos Castellano, w okolicy, którą zamieszkiwało parę plemion dzikich tubylców, zwanych *Bugre'ami*.

Oni to, dowiedziawszy się o mającym nastąpić przejściu wojsk brazylijskich, rzucili się na nie z zasadzek, straszne w ich szeregach sprawiając spustoszenie. A w tym samym czasie powiadomili generała Canabarrę, że są zycielwie usposobieni dla republikanów; i w samej rzeczy, podczas naszego przejścia, nie stawiali nam żadnych przeszkód. Dostrześliśmy tylko przygotowania, w postaci barykad, rowów i t. d., poczynione na spotkanie Brazylijczyków.

Pewna kobieta z dzieckiem, porwana przez dzikich Bugrów z Baccarii i tu zamieszkująca, korzystając z naszego przemarszu, uciekła od nich i przyłączyła się do nas.

Szliśmy powoli, ani ścigając wroga, ani też przez niego ścigani. Nie mając koni, byliśmy zniewoleni chwytać i ujeżdżać dzikie źrebce. Świeżo utworzony oddział lansierów musiał poprzestać na takich wierzchowcach. Rzeczywistą rozkosz sprawiało mi oglądanie czarnoskórych, harcujących na tych dzikich wierzchowcach.

Weszliśmy z kolei do prowincji Missiones, zdążając ku stolicy owej prowincji, małej miejscinie Alta Cruz, położonej na wyżynie i wcale dobrze zabudowanej. Z Alta Cruz pospiesziliśmy do San Gabria, miejscowości wyznaczonej na naszą główną kwaterę. Tam zostały zbudowane baraki dla umieszczenia wojsk. I ja wzniosłem tam dla siebie domek, w którym przemieszkiwałem przez pewien czas.

Już od sześciu lat nie utrzymywałem żadnych stosunków z przyjaciółmi, którzy w kraju zostali, również od dawna nie miałem wiadomości od rodziców, których los nie był zgoła mi znany. Obudziło to we mnie gorącą chęć znalezienia się w miejscowości, gdzieby mi łatwiej mogła dojść jakakolwiek o nich wiadomość.

Po namyśle zdecydowałem się podążyć na pewien czas do Montevideo, i, otrzymawszy w tym celu pozwolenie prezydenta, dostałem stado bawołów na pokrycie kosztów podróży.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sztuka i literatura zagraniczna.

* W londyńskim Drury-Lane teatrze, znany autor angielski, Frank Lee, wystawił sztukę, której bohaterami są czerwonoskórzy; przedstawia on ich życie, bóle, nienawiści i miłości, z wielką prawdą psychologiczną i etnograficzną. Nowa sztuka nosi tytuł: „Ostatni z plemienia.“ Ojciec młodego dowódcy, Niatawa, został zamordowany, a syn ma śmierć jego pomścić. Lecz mordercą jest wielka głowa plemienia, gwałtowny Lonawanda, który ma uroczą córkę Adulolę; o jej europejskim pochodzeniu opowiada kronika skandaliczną okolicy. Za grzech matki jakoby zabity miał być przez męża ojciec Niatawy, który odegrał rolę pośrednika w miłości. Niatawa i Adulola kochają się i młody Indyanin walczy między miłością i pragnieniem zemsty. W końcu Adulola rzuca się do wody za ukochanym, który został również zabity

Sztuka była bardzo życzliwie przyjęta, zwłaszcza ostatni akt, z krajobrazem indyjskim, górami, lasami dzikimi, wodospadami, oświetlonemi blaskami księżycy. Sztuka ciągle pozostaje na afiszu w teatrze Drury-Lane.

* W Ferrarze wystawiono jednoaktowy dramat prezesa ministrów francuskich, Clemenceau p. t. „Zasłona szczęścia.“ Sztukę wystawiła jedna z najlepszych scen włoskich z Ernestem Novellim na czele. Dramat napisany był w roku 1901-ym, gdy powstanie bokserów skierowało oczy całego świata na Chiny i Clemenceau nie miał jeszcze ani urzędów, ani zaszczytów. Wystawiono go w teatrze Renaissance, miał tylko t. zw. „succès d'estime“ i wkrótce o nim zapomniano. Sztukę odgrzebał Novelli, i objął rolę ślepego mandaryna, Tchaughi. Treść sztuki następująca: mandaryn ów od lat 10-ciu ślepy jest, ale szczęśliwy, bo otaczają go dobrzy ludzie. Czci przyjaciela i nauczyciela swego Likian-ga, którego uważa za wielkiego uczonego, szczęśliwy jest z towarzysza Fu-fu, przyjaciela żony swojej, którą tkliwie kocha za jej wierność i przywiązanie. Ale oto, dzięki kropłom, otrzymanym przez lekarza europejskiego, Tchaugi odzyskuje wzrok i przekonuje się, że wszyscy okłamywali go, nawet biedny skazaniec, dla którego wyprosił łaskę u cesarza. W rozpaczylewa sobie w oczy resztę kropli, ażeby znów zaniewidzieć i nigdy okrutnego świata i ludzi nie widzieć. Sztuka wzbudziła bardzo żywe zainteresowanie.

* W Paryżu zmarł wybitny portrecista Teobald Chartran w 58-ym roku życia. Chartran, który jeszcze w tegorocznym Salonie wystawił portret damy, był uczniem Cabanela. Malował także obrazy historyczne, dekoracyjne; jego pędzla są malowidła klatki scho-dowej w Sorbonie. Najpiękniejsze portrety Chartrana są: Leona XIII-go, Roosevelta i córki jego Alicyi, kardynała Gibbonsa, artystki Reichenberg i Sary Bernhardt.

* Pisarz francuski Catulle Mendès powziął zamiar założenia w siedzibie swojej w Saint-Germain teatru Natury. Teatr zbudowany ma być na wielkim trawniku sposobem tarasowym, a podczas złej pogody ochroniony przez dach automatyczny. Miejsce będzie 2,700, a grywać będą tylko w niedzielę. Budżet obliczono na 6,000 franków wydatków i 8,000 do 10,000 fr. dochodu. Na otwarcie dana ma być sztuka Musset'a „La coupe et les lèvres.“

* Messenger, znany i słynny dziś francuski kompozytor operetkowy, autor „Weroniki“, zacerpnął tematu z poematu Musset'a „Le Chandelier“, napisał operę komiczną p. t. „Fortunio.“ Opera, do której wstawiono kuplety operetkowe, doznała wielkiego powodzenia, a treść jej, z bardzo małemi zastosowaniami do opery zmianami, wierna jest poematowi.

m. l.

Kronika działalności kobiecej.

— Wyższa uczelnia dla kobiet.
Dążenie do poważnego naukowego wykształcenia ze strony kobiet jest całkowicie

usprawiedliwione, a zarazem jest bardzo dodatnią cechą doby obecnej. Dlatego też coraz bardziej i przez coraz szersze koła odczuwać się daje konieczność rozszerzenia i pogłębienia wykształcenia kobiet.

Z tego powodu, jak nas informują, nowo powstały Katolicki Związek kobiet polskich, rozpoczyna swą szerszą działalność od utworzenia wyższej uczelni dla kobiet.

Ta nowa uczelnia, rodzaj Akademii dla kobiet, otwartą już będzie 15-go Września r. b. Kurs nauk trzyletni. Rok pierwszy ogólnokształcący, następne dwa specjalne z dwoma fakultetami: historyczno-filozoficznym i matematyczno-przyrodniczym.

Przyjmowane będą rzeczywiste i wolne słuchaczki, które zapisywać się mogą na cały kurs lub na poszczególne przedmioty. W pierwszym roku na żądanie, kandydatki przygotowane być mogą do egzaminów państwowych na dyplom nauczycielski.

Blizszych szczegółów dowiedzieć się można na miejscu od 15-go Sierpnia (Marszałkowska 68 mieszkania 6).

Z. S.

Chwila bieżąca.

— Dnia 3-go b. m. nastąpiło spotkanie monarchów: Najjaśniejszego Pana cesarza Rosji z cesarzem pruskim Wilhelmem, w Swinemünde. Najjaśniejsi Panowie wzywali się wzajemnie. Jacht „Sztandar“ powitał cesarza niemieckiego 33-ma wystrzałami. Na jachcie „Hohenzollern“ odbyło się śniadanie. Ich Cesarskie Moście siedzieli naprzeciw siebie. Spotkanie to stwierdza najlepsze stosunki, panujące pomiędzy Rosją a Prusami, uprzednio fałszywie komentowane z powodu traktatu handlowego pomiędzy Rosją a Anglią.

— Dnia 15-go b. m. w Gmunden nastąpi spotkanie monarchów: cesarza Franciszka Józefa z królem Edwardem. Obadwaj monarchowie udadzą się następnie do Ischlu.

— Kiedy w Haadze odbywają się konferencje pokojowe, w Marokku gotuje się do „wojny świętej“ przeciwko Europejczykom. Francja i Hiszpania przedsięwzięły energiczne kroki w celu stłumienia rokoszu.

— Ministerjum oświaty wydało okólnik co do środków podniesienia szkół średnich. Wymagając od nauczyciela dobrze obmyślonego rocznego planu egzaminowania całej klasy, nie zaś poszczególnych uczniów, zaleca zwrócić uwagę na dokładne wyuczenie historii Rosji, języka rosyjskiego i literatury.

— Ojciec Święty przyjmował na audyencji posła japońskiego w Wiedniu, który mu wręczył list mikada. Rezultatem było mianowanie Uszyda posłem przy tronie papieżkim.

— Znów zawrzało w Łodzi. Agitacja socjalistów chciała zmusić do strejku powszechnego, jako demonstracji przeciw licznym aresztowaniom i rewizji w fabrykach Towarzystwa akcyjnego Poznańskich. Na szczęście jednak nie zdołali rozszerzyć swej działalności. Jak wiele nieszczęść i ofiar walk bratobójczych padło w Łodzi, dowodzi statystyka ostatnich sześciu miesięcy. Zginęło 127-u mężczyzn i sześć kobiet, zraniono 246-iu mężczyzn i 19 kobiet. W przeciągu tego samego czasu dokonano 83-co napadów zbrojnych, zabrano przytem pieniędzy 26,000 rubli. Od uderzeń kolbami i wystrzałów ucierpiało 70 osób, z tych siedm zmarło. Z pośród przedstawicieli władzy zabito 16, raniono 6 osób.

— W Kielcach od dnia 16-go z. m. zaczęło wychodzić nowe pismo p. t. „Kurier kielecki.“ Pismo podpisuje jako redaktor i wydawca p. Czesław L. Czaplicki, wychodzi ono dwa razy tygodniowo.

— Wobec wzrastającej emigracji ludu naszego nad granicę pruską, zabrakło robotnika do koszenia. Namówiono kobiety do tej roboty i okazało się, że potrafią doskonale wywiązać się z zadania. Mamy więc kosiarki w spódnicach.

— „Kurier Litewski“ podaje projekt przewiezienia pamiątek narodowych z Muzeum w Raperswyłu do Krakowa,

dla utworzenia na Wawelu wielkiego Muzeum pamiątek polskich, połączywszy zbiory w Raperswyłu, Sukienicach i Muzeum Czapskich w jedną całość. Może jednak wobec nieszczęśliwego położenia naszego kraju, zbiory nasze bezpieczniejsze są zagranicą.

— I Wilno w tym miesiącu miało swoje krwawe dni. Gdy do domu Lurie przy ulicy Raduńskiej, przybyła policja dla rewizji, nie chciano jej dopuścić. Zaczęła się obustronna walka. Za przybyciem policmajstra i pół rotę żołnierzy wkroczone do mieszkania, gdzie znaleziono dwóch żydów, sześć brauningów, bomby, lonty i literaturę nielegalną. Podczas strzelaniny w sąsiednim mieszkaniu, przez drzwi zabito żydówkę. Z policyi nikt szwanku nie poniósł.

— W Kijowie, w celu rabunku, zabito mnicha w celi klasztoru Preobrażeńskiego.

— W gubernii Kazańskiej uchwała gromadzka wydała b. posła do drugiej Dumy państwowej, Baturyna, za propagandę przeciw rządową, oraz wszystkich tych, którzy podzielali jego przekonania.

— We Lwowie odbył się Zjazd lekarzy i przyrodników z całej Polski.

— Wśród Rusinek galicyjskich pojawia się ruch za wywalczeniem praw wyborczych. Jedną z pionerek, pani Marya Grabowska, wzywa kobiety, aby nie dały się znieważać w godności ludzkiej i stać w jednym szeregu z idiotami i złoźciami, kiedy chłop, nawet analfabeta nie jest pozbawiony głosu. „Odezwiście się!“ — woła na szpaltach „Dila,“ organu Rusinów-Ukraińców.

— W Londynie odbył się wiec przyjaciół swobody rosyjskiej, którzy następnie, po wygłoszeniu mów przez członków partii robotniczej, oraz znanych socjalistów, jak: Ryndman i Kenningemgren, zmienił się pod wieczór w wielką demonstrację przeciw rządową. Kiedy wszczęły się nieporządki anti-angielskie, z powodu umowy między rządami angielskim a rosyjskim, policja aresztowała kilka osób, w tej liczbie dwóch Rosyan, którzy nie władali językiem angielskim.

— W Filadelfii, w Ameryce, panują nadzwyczajne upały. Podczas uroczystego pochodu przez miasto 2,500 osób dostało udaru słonecznego.

— Według statystyki, na całej kuli ziemskiej zamieszkuje 11 milionów żydów. Z tego na Europę przypada 9 milionów, na całą Rosję 3,872,000, na samą zaś Polskę 1,317,000.

— Zmarły przed kilku dniami ś. p. Jan Grondzki, uczynił znaczne zapisy na cele dobroczynne, a mianowicie: 4,000 rubli na przytułek imienia Sobańskich przy Wiejskiej w Warszawie, 3,000 rubli na kościół w Grabowcu, w pow. Iłżeckim, 2,000 rubli dla zarządu cmentarza Powązkowskiego, 1,000 rubli na zakład św. Stanisława Kostki w Warszawie. Na Macierz Szkolną, na Schronienie szwaczek, Schronienie nauczycielek, dla Biura aędy wyjątkowej, na Przytulisko przy ulicy Wspólnej — po rubli 1,000. Resztę, wynoszącą prawdopodobnie 300,000 rubli, zmarły przeznaczył na budowę nowej świątyni w Warszawie.

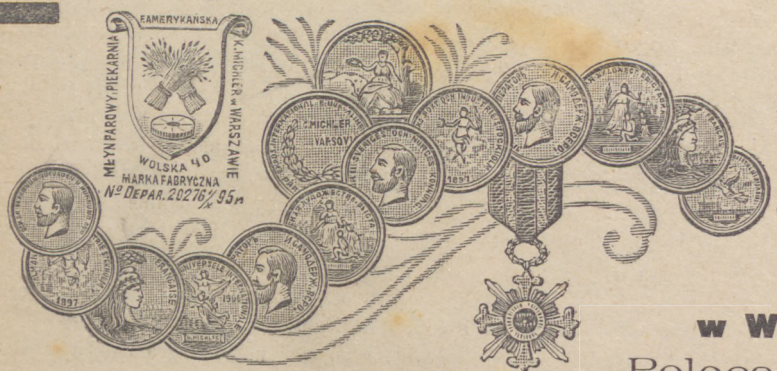
Treść numeru:

Bezpartyjność, jako hasło równouprawnienia, przez N. J. — Bez celu, [powieść, przez Maryana Gawalewicz (ciąg dalszy). — Z doby obecnej, przez Stefana Gorskiego. — J. P. Béranger: Czternasty Lipiec (wiersz), przekład Władysława Nawrockiego. — Ellen Key w świetle postępowych dążeń ruchu kobiecego, oraz reformy wychowawczej, zarys syntetyczny, przez Maryę Czesławę Przeworską (ciąg dalszy). — Czytelnictwo ludowe na Litwie, przez Emilię Węslawską. — Chwila (obrazek), przez Mariona. — Zjazd kobiet polskich, przez Z. B. — Giuseppe Garibaldi, kartki z pamiętnika (ciąg dalszy). — Sztuka i literatura zagraniczna, przez m. l. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Chwila bieżąca. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 10-ty powieści Piotra Loti'ego z życia współczesnych haremów tureckich, p. t. „Rozczarowane,“ w przekładzie M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opisy ubiorów i robót z rycinami. — Przepisy kuchenne.

Mąka i pieczywo



Zakłady Przemysłowe

(Młyny i Piekarnie Parowe)

Karol Michler

w WARSZAWIE, Wolska 40.

Polecają ze swej

Największej w Kraju Fabryki Makaronów

Makarony w różnych gatunkach i 50 odmianach

Na żądanie wysyłamy Cenniki z dokładnym wyszczególnieniem odmian.

Dr. Maksym. Tuchendler

B. lekarz poliklin. Uniwers. Berlińskiego
Choroby skórne, włosy, piegi,
zmarszczki i t. p. od 6—8. PANIE od
3—4. **KOSMETYKA.** Chmielna 38.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie

KARPIŃSKIEJ

POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony
francuzki, niemki, angielski.

Warszawa, Moniuszki 7.

Kaucyonowane

BIURO NAUCZYCIELSKIE

Wandy Rościszewskiej

Warszawa, Bracka 23,
Łódź, Przejazd 14.

Poleca Nauczycieli, Nauczycielki, Freblów-
ki, Bony różnych narodowości.

Biuro Jahołkowskiej

poleca nauczycieli, nauczycielki od 250—
1000 rub. Francuzki od 200—600. Bony
polki, niemki od 120—250.

Warszawa, Nowo-Jasna 8.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

MARYI NOWORYTO

Warszawa, Nowogrodzka 28
poleca nauczycielki, bony, cudzoziemki.

KUPUJĘ BRYLANTY,

ZŁOTO, SREBRO I KWITY LOMBARDOWE

HENRYK JUWILER

Nowy-Świat 59, 1-sze piętro front. Tel. 5528.

Sprzedają Biżuterię: Srebro okazyjne. Kon-
tentują się małym zyskiem, bo w mieszkaniu.

LIST OTWARTY

do p. Plato v. Reussnera
w Warszawie, Złota 6.

Uczę się niemieckiego języka, próbo-
wałem rozmaitych podręczników i nau-
czycieli, ale rezultaty nauki były mar-
ne, prawie żadne. Dopiero z porady nau-
czyciela, p. Tews, rozpocząłem na nowo
naukę przy pomocy Pańskiego „Samoucz-
ka”, z którego nauczyłem się po nie-
miecku, a potem po angielsku nadzwyc-
zaj łatwo i prędko. Dzięki więc znajo-
mości niemieckiego i angielskiego języ-
ka, dostałem tu w Ameryce, bardzo ko-
rzystne zajęcie, o jakie się napróżno ku-
szą moi koledzy, nieumiejący tych dwóch
języków. Wydatek na książki zwrócił mi
się z tysiącnym procentem. Zatem uwa-
żam „Samouczek” Pański za najlepszy
podręcznik w Europie i Ameryce, który
cenię tysiąc razy wyżej, niż złoto i bry-
lanty, bo te może łatwo ukraść złodziej,
a „Samouczek” i wiadomość z niego na-
byta jest niewyczerpanym źródłem skar-
bów bezpiecznych przed złodziejami i
rabusiami.

LEOPOLD KUZWA.

Toledo, Ohio, 224 Colburn-Str., Amery-
ka Półn. Dnia 16-go Lipca 1905 r.

Grand Chic Parisien wykwintne kapelusze damskie

Foksal № 18, 1-sze piętro.

Niema zimnych i wilgotnych mieszkań

3 Medale Złote

jeśli obsadzić w piecu

MULTYPLIKATOR OGRZEWANIA

Pat. Gasselseder & Niemcezek i Kłobukowski

ogrzewa pokój w 30 min. do samej podłogi,
PIECE ŻELAZNE MULTYPLIKATOROWE OSZCZĘDZA do 50% opału

nie wydzielają swędu, utrzymują ciepło 8 g. po napaleniu

Pochlebne zaświadczenia, prospekty i cenniki mult. wysyła się na żądanie
Tel. 1502. Biuro Techniczne Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, inż. chem. Al. Jerozol. 71

Ważne dla mających chore nogi!!!

Pracownia Form i Prawideł Męskich i Damskich

Fasonów Najnowszych

Teodora Parolewicza Warszawa, Podwale 26
(naprzeciw Hotelu Sławińskiego).

Poleca dla Sz. PP. cierpiących na odciski formy do obuwia, prawidła do butów i ka-
maszy oraz maszynki do rozbijania obuwia, które wykonywa solidnie na czas oznaczony
i po cenach bardzo umiarkowanych.

Robota gotowa na składzie.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Piotr Laskauer.**

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa, Nowy-Świat 41.

SANATOGEN



Wszystkim osłabionym, wycieńczonym,

zdemerowanym i pozbawionym energii
życiowej przywraca siły i chęć do życia

SANATOGEN BAUERA

Pochlebne opinie więcej niż 3600 lekarzy
i profesorów. Dostać można we wszyst-
kich aptekach i składach aptecznych. Wy-
strzegać się bezwartościowych naśladownictw.
Prawdziwy tylko w opakowaniu rosyjskiem.

Broszury gratis i franco wysyła S. KARCZEWSKI, Warszawa,
Nowo-Senatorska 4.